

1405

STOLICA



W DOMU PISARZA: MELCHIOR WAŃKOWICZ (patrz str. — 4-5)

Fot. Konstanty Jarochoński

Nr 20 (1380) * Rok XXIX * Warszawa, 19 maja 1974 r. * Cena 3 zł

MIEJSCE DLA SAMOCHODU

Na każdy tysiąc warszawiaków przypada obecnie w naszym mieście ponad 60 prywatnych samochodów osobowych. Łączna liczba pojazdów samochodowych, jak to się oficjalnie określa samochody i motocykle, ciągniki itp., przekroczyła w Warszawie 140 tysięcy. Oczywiście, przeważają samochody osobowe, których jest już blisko 84 tysiące, w tym około 5 tysięcy należących do instytucji społecznych.

Od 1966 roku liczba samochodów osobowych w stolicy podwoiła się.

Na podwojenie obecnej liczby samochodów chyba nie będziemy długo czekać. Przyjęta na początku bieżącej 5-letniej prognoza motoryzacyjna przewidywała, że w 1975 roku liczba samochodów osobowych osiągnie 90 tys. sztuk, a liczba pojazdów samochodowych wyniesie 127,5 tys. sztuk. Tymczasem jak widać z przytoczonych wyżej danych już w roku ubiegłym liczba pojazdów samochodowych w ogóle przekroczyła prognozy na 1975 r. a prognoza dla samochodów osobowych ziści się jeszcze w roku bieżącym.

Kolejna prognoza przewiduje już, że w roku przyszłym samych tylko samochodów osobowych będziemy mieli w Warszawie 108 tysięcy. Tymczasem nie ma ich gdzie sprzedawać. Na skutek braku elementarnych choćby warunków do sprzedaży samochodów w Warszawie, mieszkańcy regionu warszawskiego nierzadko odbierali zakupione samochody w innych miastach, do których... wysyłane są np. „Polskie Fiaty” z Warszawy. Warszawa dysponuje w chwili obecnej zaledwie dwoma punktami sprzedaży samochodów.

Każdy z punktów sprzedaje rocznie ponad 10 tysięcy samochodów, czyli średnio licząc po 40 sztuk dziennie. Jest to swoisty rekord nie do pobicia w skali światowej. Jak w tych warunkach można mówić o kulturze sprzedaży, należytem przeglądzie zwanym przeglądem zerowym...?

Zresztą już przed otwarciem punktu ustawia się przed drzwiami kolejka klientów.

A co będzie jutro, pojutrze? Wszak liczba oferowanych samochodów będzie wzrastać. Przyjmuje się, że w regionie warszawskim w roku 1980 sprzedawanych będzie 46 tysięcy samochodów i 47 tysięcy motocykli.

Kiedy jednak klient znajdzie się już za kierownicą swego wehikułu, chcąc nie chcąc musi w okresie gwarancyjnym parokrotnie skorzystać z usług uspołecznionego zaplecza motoryzacyjnego, a to w celu dokonania tak zwanych przeglądów gwarancyjnych. I to z reguły w godzinach pracy, bo nie wszystkie stacje obsługowe uspołecznione pracują na dwie zmiany. Spośród 27 stacji tylko 16 stoi otworem po godzinach normalnych zajęć.

Nie jest więc przypadkiem, że blisko 20 proc. posiadaczy samochodów korzysta z usług prywatnych rzemieślników dorabiających sobie po godzinach pracy.

Szybkość napraw zależy w tym przypadku od posiadania części zapasowych. Praktykowany do niedawna, nawet w stacjach uspołecznionych autoryzowanych, zwyczaj wysyłania klienta na miasto by poszukał potrzebnej części, to szczyt absurdu do jakiego doprowadziło rozbięcie odpowiedzialności za obsługę samochodów na wiele różnych resortów i organizacji.

Daleki jestem od umiarkowanego choćby optymizmu z powodu generalnej reorganizacji zaplecza, zintegrowania przemysłu produkującego samochody z handlem i obsługą. Powołanie Centrali Techniczno-Handlowej Motoryzacji „Polmozbyt” samo przez się nie zmieni sytuacji. Tyle że klient będzie wiedział kto odpowiada za serwis jego samochodu kupionego w „Polmozbycie”, a więc w przedsiębiorstwie, które zobowiązane jest zapewnić serwis i... części.

Powstanie „Polmozbyt” nie gwarantuje szybkiej i radykalnej poprawy. Liczyć się trzeba z realiami. A są nimi: braki części dla wielu marek samochodów, niedostateczna ilość dobrze wyposażonych stacji obsługi i placówek sprzedaży samochodów.

Doraźne pociągnięcia organizacyjne w postaci wyspecjalizowa-

nych sklepów i podporządkowania ich — w tej samej marce — wyspecjalizowanym stacjom obsługi, stworzenie zakładów w oparciu o istniejące stacje obsługi, słowem scalenie pionowe sprzedaży pojazdu, serwisu i sprzedaży części zamiennych powinno nieco złagodzić istniejącą sytuację.

Ale przecież samymi pociągnięciami organizacyjnymi niewiele się zrobi.

W najbliższych latach trzeba wybudować w Warszawie i okolicy co najmniej 13 nowych stacji obsługi, w tym 11 z punktami sprzedaży samochodów. Program rozwoju przewiduje wybudowanie takich stacji na Grochowie, Służewcu, Żoliborzu, Okęciu i na Ursynowie. Część z nich np. na Okęciu wyposażona zostanie w stację benzynową CPN.

Ma powstać cała sieć myjni mechanicznych należących do Stołecznego Przedsiębiorstwa Usług Motoryzacyjnych.

Musi powstać także serwis w woj. warszawskim, gdzie poza stacją w Płocku i nową stacją w Siedlcach, trudno mówić o tzw. nowoczesnym zapleczu dla motoryzacji.

Uspołecznionej sieci stacji obsługi powinny przyjść z pomocą stacje rzemieślnicze. Jest ich dużo, ale połowa ma tak zwaną lokalizację czasową, a więc przeznaczona jest do rozbiórki. Rzecz oczywista, że właściciele nie inwestują w takie obiekty.

Fatalnie przedstawia się także tzw. branżowość stacji. Najwięcej jest chętnych do usług prostych to jest smarowania, ale już bez mycia. Najgorzej jest z warsztatami lakierniczymi i blacharskimi.

Warto zaszykalizować także pewien niedostatek stacji benzynowych.

Nie wszyscy zdają sobie sprawę z tego, że w motoryzującej się Warszawie mamy mniej stacji publicznych paliw aniżeli przed wojną, gdzie do dyspozycji niepełna 12 tysięcy pojazdów stały 162 stacje benzynowe. Dziś jest stacji pół setki. Ponadto w bazach zamkniętych przedsiębiorstwa około 80 stacji.

Prawda, że dzisiejsze stacje, wyposażone w pompy elektryczne, trudno porównać z przedwojennymi, ale faktem jest, że liczba stacji jak i ich rozmieszczenia nie może zadowalać.

Dojrzała też chyba sprawa uruchomienia w centrum miasta — punktu informacyjnego i załatwiania formalności związanych z nabyciem samochodu.

Klient powinien w takim punkcie otrzymać rzetelną informację o oferowanych do sprzedaży samochodach, o ich cenie, warunkach płatności. Na miejscu powinien mieć możliwość wniesienia opłat, załatwienia formalności związanych z kupnem wozu na raty.

Tu też powinien klient znaleźć pełną informację o częściach zamiennych. Słowem taki duży salon „Polmozbytu”, staje się w Warszawie coraz bardziej potrzebny.

Tyle o kłopotach posiadaczy samochodów. Ale są też kłopoty wspólne kierowców i władz miejskich: niedostatek miejsc postojowych. Na razie niedostatek ten w Śródmieściu łagodzi wielokrotność władz kontroli ruchu drogowego patrzących przez palce na zamiatanie, wbrew przepisom, całych chodników i trawników na parkingi.

Zamieniono na miejsca postojowe nawet przystanki autobusowe. Parkuje się... pod daszkami przeznaczonymi dla pasażerów, co można codziennie oglądać w najbardziej eksponowanym i pilnie patrolowanym punkcie miasta przed gmachem BGK.

Na skutek braku powierzchni parkingowych wycinane są drzewa i krzewy w osiedlach.

Zarządzenie nr 118 ministra budownictwa z 1964 r. wprowadziło normatywy. Nie był on wielki, oparty o hipotezę 100 samochodów na 1000 mieszkańców. W Warszawie już od paru lat przyjęto hipotezę 200 samochodów na 1000 mieszkańców w osiedlach. Jest to nawet więcej niż 50 aniżeli przewiduje nowy normatyw urbanistyczny, który wchodzi w życie. A przecież w czasie pobytu grupy ekspertów z ONZ w naszym kraju, wskaźnik ten wywołał ogromne zdziwienie. Jest bowiem zbyt niski.

Wciąż w Warszawie głównymi miejscami postojowymi są chodniki i... jezdnie. A przecież wiadomo, że wystarczy zezwolić na parkowanie na dość szerokiej nawet 9-metrowej jezdni, ażeby zmniejszyć przepustowość ulicy o 50 procent.

Zbyt małe działki przeznaczone, w wielu osiedlach pod parkingi, co z góry wyklucza możliwość postawienia na nich w przyszłości parkingów wielopoziomowych.

Ostatnie decyzje o przyspieszeniu produkcji samochodów osobowych muszą iść w parze z przyspieszeniem działań zapewniających rozwój zaplecza technicznego motoryzacji w szerokim tego słowa znaczeniu, a więc nie tylko punktów sprzedaży samochodów, stacji obsługi i napraw, ale także zagwarantowania tym nowym pojazdom, niechby „pod chmurką”, ale jednak miejsca na postój.

STEFAN JERSKI

Rotunda w Pałacu Łazienkowskim
Fot. Z. Siemaszko



KRONIKA TRZYDZIESTOLECIA 1960

W 1960 r. 15 stycznia w Ratuszu wręczono po raz pierwszy Odznaki Honorowe „Za Zasługi dla m. st. Warszawy”. Tego dnia nagrody m. st. Warszawy otrzymali: Mieczysława Cwiklińska, prof. Kazimierz Sikorski, prof. Franciszek Strynkiewicz, dr Irena Jurgielewiczowa, prof. Władysław Szenajch, prof. Wojciech Świętochowski, inż. Józef Sigalin, red. Henryk Korotyński. Od 22 lutego do 12 marca trwał VI Międzynarodowy Konkurs Chopinowski, I nagrodę uzyskał Włoch, Maurizio Pollini. Dnia 28 marca w hucie „Warszawa” rozpoczął produkcję pierwszy piec martenowski. Pierwsze w Warszawie rteciołowe lampy uliczne zainstalowano w kwietniu na Wybrzeżu Kościuszkowskim, 23 kwietnia udośćpniono zwiedzającym 7 komnat odrestaurowanych w pałacu Na Wodzie, 28 oddano do użytku pierwszą Szkołę Tysiąclecia im. Frycza Modrzewskiego przy ul. Elektoralnej. 24 czerwca rozstrzygnięto konkurs na projekt międzynarodowego dworca lotniczego na Okęciu, I nagrodę zdobyli arch. Krystyna i Jan Dobrowolscy; 2 lipca rozpoczęto budowę osiedla WSM „Sady Żoliborskie”, 4.XI ogłoszono wyniki konkursu „Mister Warszawa 1960”, pierwsze miejsce uzyskał budynek z ul. Niskiej 14, projektu arch. Wacława Rytnera. W grudniu oddano do użytku pierwszy oddział Szpitala Bielańskiego. (FGJ)

Laureat VI Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina, 18-letni Włoch Maurizio Pollini wśród dziennikarzy, na lewo od niego sekretarz Konkursu, prof. Bolesław Wojtowicz

Fot. CAF





Plot, a co za plotem? — Każda budowa przyciąga wielu zainteresowanych, wzbudza dyskusje i komentarze



HOTEL NA PLACU ZWYCIĘSTWA

Na placu Zwycięstwa wzdłuż ulicy Królewskiej stanął parkan, za którym szwedzkie przedsiębiorstwo (to samo, które zbudowało hotel „Forum”) przystąpiło do prac związanych z przygotowaniem terenu pod budowę nowego hotelu.

Będzie on należał — tak jak „Forum” — do systemu Intercontinental, z tym że będzie to obiekt klasy lux.

Biała 7-piętrowa bryła prosta i spokojna zostanie podkreślona w dolnych partiach wykładziną z brązowego granitu. Okna o szybach z termopanem (podwójne szkło z podlewem metalicznym) będą dawać lekko miedziany poblask. Optycznie wysokość budynku nie przekroczy wysokości hotelu „Europejskiego”. Oprócz siedmiu kondygnacji naziemnych zaprojektowane są dwie podziemne — w sumie kubatura całości wyniesie 140 tysięcy m³. W środku znajdują się także restauracje (na 805 miejsc), cocktail-bar (na 60 miejsc), kawiarnia (na 200 miejsc), klub nocny, klub hotelowy.

Kawiarnia, która zostanie usytuowana na I piętrze, będzie miała duży taras od strony placu Małachowskiego, a także widok na Ogród Saski i plac Zwycięstwa.

Autorami projektu jest 5-osobowa grupa polsko-szwedzka w składzie: Z. Pawelski, A. Dzierżawski, L. Sołnowicz, D. Fraser i K. Hultin.

P. K.

Większość robót ziemnych jest zmechanizowana — tylko nieliczne poprawki wykonuje się ręcznie

Zdjęcia: Janusz Pokorski



Widok na plac Zwycięstwa i teren robót z gmachu Ministerstwa Łączności



TRWANIE POPRZEZ KLIMATY

Z MELCHIOREM WAŃKOWICZEM ROZMAWIA LESZEK MOCZULSKI

— Czy jest Pan warszawiakiem?
(Mówię to tonem lekko zaczepnym: co może odpowiedzieć człowiek, który prawie całe życie spędził w Warszawie? Melchior Wańkiewicz waha się ułamek chwili, ale odpowiada stanowczo).

— Nie. Pochodzę z bramy smoleńsko-witebskiej, gdzie na 70 kilometrach między Dźwiną a Dnieprem było 28 wielkich pobożysk. Jestem z dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego. Z ziemi, gdzie przelamywały się nieprzerwanie dwie wielkie kultury: Rzymu i Bizancjum.

— A Warszawiak?

— Tutaj spędziłem większą część życia, począwszy od drugiej klasy szkoły średniej. Tylko z przerwą na studia na Uniwersytecie Jagiellońskim — no i te 17 lat. przebytych na emigracji.

— Jestem pierwszy raz w Pańskim nowym domu. Gdy tu wchodziłem, przypomniało mi się „Ziele na kraterze”. Ile Pan miał właściwie w życiu domów — prawdziwych domów?

— Pięć. Najpierw tam, gdzie się urodziłem: Kalużyce. Drugi dom — to willa na Żoliborzu. Trzeci — willa na Ealingu, w Anglii. Czwarty na Long Island, w Ameryce. I teraz piąty.

(Melchior Wańkiewicz siedzi w hotelu za wielkim biurkiem, na tle regałów. Gabinet, w którym rozmawiamy, podobnie jak cały dom, urządzony jest bardzo nowoczesnie choć wygodnie. Stary człowiek mieszka w nowym domu, nie tylko nowym, że świeżo wybudowanym, ale przede wszystkim nowym w swym kształcie, wystrój, wyglądzie).

— Te damy młodzieją. Urodził Pan się w starym, rodzinnym dworze. Od ilu pokoleń zamieszkałym?

— No... Pożar był 200 lat wstecz, teraz już 300 lat mija. Dziado-

wie przenieśli się wówczas do domku ekonomskiego, a później obrastał on w przybudówki i dobudówki. Z przodu pozostała kolumnada małego dworku, a w głębi...

— Tamten dom służył przez 200 lat. A następne? Ten na Dziennikarskiej?

— Na Żoliborzu mieszkałem dziesięć lat. W trzecim domu — dwa lata. W czwartym — jakieś trzy lata. No a ten służy mi już dwa, właściwie trzy miesiące.

(Melchior Wańkiewicz patrzy w okno. Zapadł wieczór, jest ciemno, nie widać że na zewnątrz zaczęła się wiosna. W pokoju jest jasno i ciepło).

— Włęcz trzy miesiące... W swoim życiu, na nowo zakorzeniał się Pan cztery razy. Tylko raz, jako dziecko, wszedł Pan w dom, który trwał obrośnięty przybudówkami i tradycją, wszedł Pan w klimat, który istniał setki lat, dziesiątki pokoleń, w krajobraz tej Polski wlecznej, która była zawsze, świadoma ciężaru całej swojej przeszłości. A potem cztery razy rzucony wiatrem historii, musiał się Pan zakorzeniać na nowo.

— Napisałem przecież książkę „Przez cztery klimaty”. Zmieniały się miejsca i czasy.

(Wańkiewicz nie wzrusza ramionami, ale czuje niemal namacalnie, że ten gest następuje gdzieś wewnątrz jego psychiki. Tonem głosu akcentuje, że nastąpiła przecież rzecz normalna: w czas międzyepoki wszyscy zakorzeniają się na nowo).

— Uważa więc Pan, że te Pańskie osobiste losy, zakorzeniać się raz po raz na nowo, często nietrwale — tak jak właśnie ziele na kraterze, są w jakimś stopniu paralelne do naszych losów narodowych?

— Czy tylko moje? Jeśli ktoś czynnie uczestniczy w życiu naro-

du, to jego losy muszą przebiegać tak, jak losy wspólne. Tych paraleli jest zresztą więcej. Widzi Pan, jesteśmy krajem bardzo ciekawym pod względem naszych wewnętrznych kontrowersji. Znajdujemy się na pograniczu kultury euroazjatyckiej i zachodnioeuropejskiej. W mojej ziemi rodzinnej, owym dawnym Wielkim Księstwie było to jeszcze bardziej widoczne. Stroje — orientalizujące, naloty językowe, ale i jakieś wartości głębsze: przecież to wszystko bardzo nas różni od Zachodu. Przypomnijmy sobie, że na Zachodzie była większa równowaga sił społecznych. W dawnej Rzeczypospolitej szlachta stanowiła dziesięć czy nawet piętnaście procent społeczeństwa, gdy na Zachodzie dwa lub trzy procent — ale obok niej było tam wielkie mieszczaństwo, które wpływało swoją kulturą na oblicze całego narodu. U nas istniały dwie zupełnie różne i nieprzenikające się kultury: szlachecka i chłopska...

(Oponuję, że może teza jest zbyt ostra, skrajna, że te kultury wpływały na siebie nawzajem, ale Melchior Wańkiewicz nie godzi się z tym, mówi dalej:)

— ...Kultura szlachecka — imponderabiliów i kultura chłopska — realiów. To się w całym naszym bycie ciągle odzwierciedla. Także w naszych ocenach nas samych. Kiedyś w rocznicę Powstania Styczniowego zaprosiłem kilka osób — byli: Kieniewicz, Jasienica, Bieńkowski, Stomma i Bocheński. Postawiłem pytanie: czy to Powstanie było w naszych dziejach minusem, czy plusem? I wie Pan na czym stanęło? Trzy głosy za, trzy przeciw!

— Ciekawe, kto był przeciw, to znaczy uważał Powstanie za minus?

— Niestety. znalazłem się tutaj w złej kompanii, ze Stommą i Bocheńskim. Uważaliśmy, że to Powstanie było niepotrzebne.

— Ale gdyby nie było tego Powstania, być może dzisiaj nie rozmawialibyśmy po polsku!

— Nie wiem, proszę Pana. Pod Białą Górą w roku 1620 wycięto całą szlachtę, a dzisiaj rozmawiają po czesku.

— To jest argument za moją tezą. Zwłaszcza, że klęska Powstania Styczniowego daleka była jeszcze od katastrofy czeskiej w Wojnie Trzydziestoletniej. Wreszcie, czy to Powstanie nie przyczyniło się do zbliżenia kultury chłopskiej i szlacheckiej, której rozdział tak Pan akcentuje?

— Nie wiem, proszę Pana, nie wiem... Widzi Pan, u mnie zawsze działają awersje do poszlacheckiej kultury, a z jej ducha wyrosło przecież i tamto powstanie. Wyszedłem z tej kultury. Jestem bardzo przywiązany do tradycji i ciężko przeżywałem rozpadanie się kultury poszlacheckiej. A prawda była taka, że do tej kultury nie dopływała kultura chłopska. Ale mówiliśmy o kontrowersjach wewnętrznych. Uważam, że nasz naród jest bardziej skazany na te kontrowersje, niż którykolwiek inny. Choćby ze względu na przewiew między

dwoma cywilizacjami. Świadomość tego przewiewu doprowadzała do szalenie pesymistycznych wniosków, że przypomnimy chociażby tezy Nałkowskiego. To jest jedna kontrowersja, geopolityczna. Drugą kontrowersję wywołały względy klasowe: istniały dwie odrębne, hermetycznie zamknięte grupy, szlachecka i chłopska, zupełnie inaczej niż na Zachodzie, gdzie te grupy łączyło z sobą liczne mieszczaństwo. A takich kontrowersji można wskazać więcej...

— Na pewno. Pozostaje jednak kwestia ich oceny. Poglądy Nałkowskiego skontrował udatnie Eugeniusz Romer, który wykazał co innego: ziemie Rzeczypospolitej stanowiły samodzielny całość, a przez to są czynnikami zespalającym Wschód i Zachód. Tezy krakowskiej szkoly historycznej o niemożności utrzymania odrębnej państwowości — co miały powodować wewnętrzne czynniki dezintegracyjne — obaliła nie tylko szkoła warszawska, ale przede wszystkim sam rozwój historii.

— Nie zmienia to faktu istnienia głębokich kontrowersji. Występowały one u nas zawsze. A przecież dziedziemy je: pisarz, który chce pisać o swoim narodzie, jest bez reszty zaplątany w te kontrowersje. Oczywiście, jeśli chce pisać uczciwie.

— Czy uważa Pan, że te kontrowersje są nieusuwalne, że zawsze będą na nas cięższe?

— Jesteśmy teraz w Polsce na dwu falach: na fali optymizmu i na fali pesymizmu. Optymistyczne jest to, że po raz pierwszy w naszych dziejach zrasta się kultura szlachecka z kulturą ludową. W czasach Drugiej Rzeczypospolitej społeczeństwo zyskało uświadomienie polityczne i narodowe, dzięki czemu tak wspaniale zdaliśmy egzamin w minionej wojnie. Ale dominowała wówczas ciągle kultura poszlachecka. Dopiero w ostatnich trzydziestu latach następuje coraz szybciej stapianie się tych dwóch kultur. To jest pierwszy wielki plus. A drugi, że zaczynamy nareszcie znowu coś znaczyć na świecie, w miarę rozwoju naszych aktywów. Jesteśmy coraz bardziej prężni. Co się liczy tym bardziej, że kultura i cywilizacja zachodnia jest współcześnie atakowana przez cztery inne, i w poważnym stopniu im ulega. Idziemy, cały świat, ku jakiejś cywilizacji uniwersalnej. Oczywiście, cywilizacja zachodnia nie zaginie, tak jak kiedyś nie zaginęła helleńska. Od naszej prężności będzie zależeć, jakie miejsce zajmiemy w tej przyszej cywilizacji uniwersalnej. Czasu nie da się odwrócić... w pełni doceniam fakt, że przenikanie się kultur stwarza kolejną kontrowersję, od której nikt nie może być wolny.

— Oczywiście, ma Pan wiele racji uważając, że czynniki uniwersalne mogą pozostawać w kontrowersji z rodzimymi. Na pewno pozostają. Ale czy wszystkie — i zawsze?

(Teraz wywiązuje się dłuższa rozmowa o tym, czy procesy rozwojowe, które w ostatnich latach zaczęliśmy określać terminem rewolucji narodowej czy wręcz rewolucji ojczyzn są przeciwnostawne w stosunku do dążeń uniwersalnych — czy też stanowią dla nich podstawę? Procesy integracyjne mogą następować tylko między społecznościami, zdolnymi już do całkowitego określenia swej

Wętrołka przez cztery klimaty, pięć epok historycznych...

Zdjęcia: K. Jarochoński



odrębnej tożsamości i indywidualnego wyrazu. Czy uniwersalizm oznacza unifikację, czy też raczej związek osobnych różnorodności, które umacniają się jeszcze bardziej wewnątrz, zamiast zanikać? Poszukiwanie własnego oblicza często prowadzi do bezwiednego lub świadomego kopiowania innych wzorów, to prawda, ale przecież kopiowanie stanowi tylko fazę wstępną, zastępowaną później naturalną reakcją, nawrotem do uwypuklenia cech indywidualnych, odrębnych i niepowtarzalnych. Wreszcie, jeśli Polska jest pełna kontrowersji, to w jaki sposób Europa, której jesteśmy częścią, może być od nich wolna? I odwrotnie. Nie tylko nasi pisarze szamoczą się ze sprzecznościami — godzimy się obaj z tą tezą, a Melchior Wańkowicz zaczyna tłumaczyć, jak się to u niego przejawia:)

— Przez całe życie byłem kontrowersyjny. Są pisarze, którzy lubią ten sport: na przykład Irzykowski czy Nowaczyński. Ja tego sportu nie lubię. Chciałbym budować, pomagać. Jestem dośrodkowy. Ale zawsze tak się zdarza, że muszę obieć karafkę La Fontaine'a z drugiej strony, zobaczyć jak załamuje się w niej słońce.

Może nie wszyscy, na pewno nie wszyscy, ale wielu z naszych pisarzy uwikłanych jest w takie same lub inne kontrowersje.

(Wańkowicz sięga do własnych wspomnień sprzed jakichś dwudziestu lat; przypomina, co wówczas niektórzy i w kraju i na obczyźnie o nim pisali. I nie tylko pisali, bo w pewnej szkole emigracyjnej dla dziewcząt na rozkaz dyrektorki uczennice uroczyście spaliły „Kundlizm”).

— Nie chcę eksponować w tych sprawach własnej osoby, ale czy zmienny stosunek do tych samych moich książek nie jest przejawem wielkiej kontrowersji, w którą uwikłani jesteśmy wszyscy? Wyczytywałem kiedyś, głównie z powodu „Sztafety”, niesamowite bzdury o sobie, pod niesłychanie ostrymi tytułami. Któż tego nie pisał? Pisał tak Kąkolowski, który teraz książeczkę o mnie wydał, pisał Bratny, który jest moim wielkim przyjacielem — a Mrozek ogłosił cztery artykuły z rządu, zakończone stwierdzeniem, że dla takiego jak pan Wańkowicz nie ma miejsca w Polsce. No cóż, dzisiaj to ja jestem w Polsce...

— *Minęły lata i sytuacja zmieniła się. To są tylko sezony, te wszystkie różne klimaty, a także mody i tzw. obiektywne konieczności — ale przecież chyba my w Polsce umiemy żyć nie sezonowo: my wiemy, że jesteśmy wartościową trwałą, niezależnie od zmiany klimatu. Zakorzeniliśmy się tutaj od tysiąca lat z okładem i nie boimy się sezonów. Jeśli więc mówimy o tych wszystkich Pańskich niedyśniejszych krytykach, którzy potem się zmienili, albo i nie zmienili — to dlaczego tak się dzieje? Czy chodzi tylko o to, że poprzednio Wańkowicz nie podobał im się, a teraz podoba — i to bardzo? Czy kontrowersja występuje tylko między tym, co pisano kiedyś, a co pisze się dzisiaj? Myślę, że chodzi tutaj o kwestię głębszą: niegdyś i dziś, ci sami ludzie — jeśli tylko są uczciwi — szamocą się z tymi samymi kontrowersjami, które w różnym czasie tworzą różne co do siły i kierunku presje i imperatywy.*

— Oczywiście, ale sprawa nie jest wyczerpana. Działo nie tylko tożsamość i nie tylko te presje, o których Pan wspominał.

lecz z drugiej strony także modnisiostwo, jakieś egzystencjalistyczne czy inne takie. Kultura polska jest tak wspaniała i rozległa, że w nią można wlewać wszystko. Jeśli tylko coś jest z talentem napisane, mieści się w niej doskonale. Na przykład „Wariacje pocztowe” Kazimierza Brandysa — proszę bardzo! — Wszystko co jest naprawdę literaturą, niezależnie od tego co głosi, mieści się w naszej kulturze. Pisarze uciekali ze swoim pisarstwem, kryli się w różnych egzystencjalizmach, bo w Polsce był do tego grunt, była rozpacz i było zwątpienie. Ale literatura ucieczki i krycia się nie wystarcza, potrzebne jest pisarstwo społeczne.

— Tutaj cytujemy literackie są często bardzo wymowne.

— Do takich kiedyś par excellence społecznych pisarzy, którego zepchnięto do tematów pięknoduchowskich pochwał pederastów — choć z wielkim artyzmem pisanych — należy przecież Andrzejewski. Mnie trochę mierzi książka „Obywatele” Kazimierza Brandysa, ale on od niej dotarł do „Listów do pani Z.”, a ostatnio do tych „Wariacji pocztowych”. Powiedziałem już, że jest to napisane z talentem i na pewno wzbogaca naszą kulturę, ale jeśli myślimy o funkcjach społecznych, to nie widzę ich w opisie, jak ktoś spółkuje z małpą, albo zjada własną nogę. Tutaj chyba zatracona została jakaś równowaga. Wszystkie takie mody pozwalają się, być może, dorabiać — ale naprawdę są ucieczką, a zysk społeczny z niej wiele wątpliwy. Zwłaszcza, gdy ktoś naiwnie uwierzy w modę sezonową i myśli, że to modnisiostwo, egzystencjonalne czy jakieś tam jeszcze inne stanowi prawdę uniwersalną i objawioną. Jeśli Osęka napisał, że się wstydy własnego wzruszenia na filmie „Hubal”, no to... Niby dlaczego się wstydzić? Pewnie, jeśli coś jest napisane albo zrobione mętnie i niezrozumiale, trudno się wzruszyć. Skąd jednak ten wstyd? Czy można się wstydzić reakcji naturalnych u normalnego człowieka? A cmokać nad opisem spółkowania z małpą?

(Wcześniej jeszcze Melchior Wańkowicz przeniósł się z biurka na fotel przy stoliku. Rozmawiamy już trzecią godzinę. Z podziwem obserwuję niespożytą siłę ponad osiemdziesięcioletniego przecież pisarza. Mówi precyzyjnie, z temperamentem:)

— A przecież modnisiostwo przejawia się nie tylko w tym, co się pisze, ale i jak się pisze. My jesteśmy ze starej szkoły Sienkiewicza, Orzeszkowej, Prusa — a byli to pisarze, którzy umieli pisać tak, że czytelnik rozumiał o co chodzi. Oczywiście, takie pisarstwo wymaga wysiłku, trzeba solidnie popracować. Często się zdarza, że pisarz chciałby wzorować się na książce, której nie rozumiał — i tylko niezrozumiałe pisał, bo na więcej go nie stać. On nawet nie łączył w tym co pisze, ale po prostu nie potrafił. Opowiem Panu taką anegdotkę: kiedy zacząłem czytać Gombrowicza, a dostałem go w odcinkach, obudziłem w nocy żonę i mówię: słuchaj, ale to jest świetnie napisane! Po jakimś czasie otrzymałem dalszy odcinek, położyłem i nie czytałem. Żona pyta, dlaczego. Powiedziałem, że przeczytam później; nie spieszy mi się, bo już wiem jak on to robi. Ci, którzy często chcą pisać tak jak Gombrowicz, nadal nie wiedzą jak on to robi. Dlatego wiele książek



Melchior Wańkowicz ze swoją sekretarką mgr Aleksandrą Ziolkowską w gabinecie w piątym domu swego życia

odkładam. „Wariacje pocztowe” przeczytałem tylko w jednej trzeciej. Zainteresowały mnie natomiast książki Jasienicy, Łojka o Powstaniu Listopadowym...

— *Lepiej wróćmy do głównego tematu: do tych polskich kontrowersji, klimatów i przemian. W „Ziele na kraterze” jest scena mazura w willi na Dziennikarskiej, tuż przed wybuchem Powstania. Znamy późniejsze tragiczne biografie tych, którzy brali udział w zabawie. Proszę Pana, gdyby dzisiaj w tym domu gdzie Pan mieszka już trzy miesiące, doszło do podobnej zabawy młodych ludzi, czy mógłby Pan przewidzieć przyszły los tancerzy? Bo tamten los, na kartach „Ziela na kraterze” w każdym razie, był już zdeterminowany. Czy dzisiaj też? I jak?*

— Nie wiem. Myślę, że ich losy potoczą się zupełnie inaczej. Ale jak?

— *Ziele na kraterze odradza się zawsze? Co jest według Pana ważniejsze, bardziej świadczące o istocie naszych narodowych losów: to odradzanie się, czy też wybuchy lawy z krateru?*

— Nie wiem. Może jedno i drugie?

— *Powtórzmy o czym już mówiliśmy: urodził się Pan w domu, który istniał, żył, trwał od 200 lat. Gdy wchodził Pan w życie dorosłe, ta stabilizacja zawalła się — i potem zawalała się jeszcze kilka razy. W sumie stworzyło to stan trwania przez różne klimaty. Czy koleje Pańskiego osobistego losu nie są czasem kluczem, przy pomocy którego odczytuje Pan nasz los wspólny?*

— Może... Na pewno.

— *Ale przecież Pański osobisty los jest typowy tylko dla pewnego, zakończonego już wycinka naszej historii. Od blisko trzydziestu lat Polacy stabilizują się, a nie są zalewani lawą*

z krateru. Czego dokona pokolenie, które z tej stabilizacji wyrosło? Pokolenie, które wyrosło ze stabilizacji czasów Pańskiej młodości, potrafiło zdobyć niepodległość. Co potrafi współczesne?

— Nie wiemy jeszcze, jakim ono jest, czy też będzie. Jakiej prawdy będą się w nim ścierać. Myślę, że już nie będzie kontrowersji między prawdą szlachecką a chłopską. Tak jak to było kiedyś. Prawdę szlachecką reprezentował Hubal, walcząc niezależnie od tego, jaką miał szansę. Prawdę chłopską uosabiał Sucharski na Westerplatte, obliczając, czy są jeszcze szanse, czy trzeba kapitulować. Jakiej prawdy będą się ścierać jutro?

— *Może w odczytaniu tego pomógł nam będzie przykład Władysława Raginisa, obrońcy Wizny, chłopskiego syna, który zrozumiał — i dlatego mógł zapłacić najwyższą cenę — że nie rachunek jest najważniejszy ani piękny gest, a jedynie niezłomność?*

(Melchior Wańkowicz oprowadza nas po domu. W pokoju na lewo od wejścia, na wykutej w murze półce rząd książek. Liczę głośno: czterdzieści dwa woluminy. Dzieło całego życia pisarza, które trwało i rozrastało się poprzez wszystkie klimaty. Wańkowicz opowiada o spotkaniu pisarzy w Radziejowicach.)

— *Wiele tam mówiono o hutnictwie, o stali, o fabrykach domów. Powiedziałem krótko: to wszystko ważne. Ale najważniejszym materiałem budowlanym, najprawdziwszym tworzywem, najbardziej wartościowym — jest człowiek. Nigdy nie wolno zapomnieć, że wszystko od niego zależy.*

Rozmowa odtworzona wedle zapisu magnetofonowego (red.)

Centrum Paryża widziane z wieży Eiffla z placem l'Étoile i Łukiem Triumfalnym (l'Arc de Triomphe) oraz aleją d'Iena Fot. Z. Siemaszko

Tak naprawdę, polubiłem Paryż dopiero na wiosnę gdy zakwitły kasztany na Polach Elizejskich i miasto jakby uśmiechnęło się po jednej z pierwszych trudnych zim powojennych. Wobec stosunkowo małej ilości parków i zieleni, której niemal całkowicie pozbawiona jest przynajmniej połowa dzielnic miasta — największym urokiem Paryża były dla mnie długie spacery, zarówno wzdłuż Sekwany z postojem przy najpiękniejszym placu świata — placu Zgody oraz wyspach Cité i Św. Ludwika, kolebki stolicy Francji, która pod nazwą Lutecji była siedzibą garnizonu rzymskiego okupowanej Galii.

Dziś po przeszło 25 latach, taki spacer nie należy do najprzyjemniejszych, ze względu na huk (i zaduch) setek tysięcy samochodów przejeżdżających tą trasą, uniemożliwiających swobodne przechodzenie ulic czy placów, a także rozmowy. Zaparkowane samochody zajmują chodniki, utrudniając ruch pieszy.

Woda w Sekwanie brudna i brzydko pachnąca odstręcza rybaków, którzy stanowili malowniczy element dawnego Paryża; pod mostami nie ma zakochanych ani włóczęgów — gdyż przeciągnięto tam nowe trasy miejskich autostrad. Poza turystami w niedzielne i świąteczne dni, nie widać wielu spacerowiczów, gdyż kto może i jak może ucieka z zatrutego miasta do podmiejskich domków czy na dalsze wycieczki, znajdując zresztą podobne zagęszczenie atmosfery i powierzchni nawet w odległych o 100 kilometrów od Paryża niegdys uroczym miejscowościach, znanych z obrazów impresjonistów.

Stolica Francji wraz z najbliższym związanym z nią ekonomicznie okresem liczy około 10.000.000 mieszkańców i blisko 3.000.000 pojazdów mechanicznych. Brak przewidywań i nowoczesnego planowania przestrzennego sprawiły, że problemy komunikacyjne są dziś prawie nie do rozwiązania, poza koncepcją, sądzę nieuniknioną — zamknięcia dla ruchu samochodowego centrum miasta. Podniesienie cen benzyny nieco poprawiło sytuację gdyż wpłynęło na zmniejszenie krótkich jazd „w interesach po mieście”, ale nie sądzę, żeby to mogło zmienić zasadniczo sytuację w najbliższych latach.

Kogo tylko stać na to, stara się o małe mieszkanie blisko miejsca pracy oraz domek za miastem, z którego korzysta się od piątku wieczorem do poniedziałku rano. W poniedziałek trzeba jednak wyjechać o 4 lub 5 rano aby dotrzeć do pracy na ósmą czy 9-tą, mimo że ma się do przejechania tylko kilkadziesiąt kilometrów. Dla większości paryżan, których nie stać na kupienie domku — pozostaje możliwość zamieszkania w blokach lokatorskich czy spółdzielczych, budowanych w promieniu nieraz 100-kilometrowym od centrum miasta. Wśród bloków powstają centrale handlowe, garaże, parkingi z nieuniknionym kurzem i zapachem benzyny, od którego usiłowano uciec. Ta zatruta atmosfera ogarnia coraz większe obszary pięknego departamentu Ille de France, tracącego ostatnie lasy i gospodarstwa rolne a nawet ogrodnice.

Zmienia się również sylwetka Paryża. Budowa wieży Eiffla w

końcu ubiegłego stulecia wywołała burzę protestów i manifestacji. Dzisiaj mało się kto przejmuje, że zachwiana została harmonia położonego w dolinie miasta, o niezbyt wysokich budynkach przez konstrukcje kilkudziesięciopiętrowych wieżowców.

Wieża Notre Dame, Pantheon czy Łuk Triumfalny nagle zmalały, znajdując nowe tło w ogromnych budowach nowego uniwersytetu (tzw. Wieża Zemańskiego, nazwana od nazwiska jednego z rektorów), zespołu wieżowców zbudowanych na wzgórzach Montparnassu czy tak zwanego Point de la Defense w dzielnicy lasku buleńskiego. Stosunkowo lepiej wrosły w krajobraz Paryża nowoczesne budowle nad brzegami Sekwany w okolicach wieży Eiffla przy bulwarze Grenelle, których wysokość nie przekracza 20 pięter.

Największym obiektem budowlanym obecnego Paryża jest tak zwany Ośrodek Beaubourg na miejscu dawnych XIX-wiecznych hal targowych, tak malowniczo opisanych w „Lalce” przez Bolesława Prusa. Hale te zbudowane przeszło 100 lat temu przez architekta Baltarda były unikalnym zabytkiem okresu pierwszych europejskich konstrukcji żelaznych, toteż wielu architektów proponowało zachowanie ich w całości z przystosowaniem do nowej roli nowoczesnego ośrodka kulturalno-sportowego. Przeważała jednak koncepcja całkowitego ich zburzenia — jedyna tylko z hal przeniesiona została „na pamiątkę” do podmiejskiego Nogent, gdzie lokalne władze nie bardzo wiedzą co z tym fantem zrobić. Na pustych terenach leżących w samym centrum miasta wydrążono ogromny krater dla kilku kondygnacji przewidzianych zarówno dla celów komunikacyjnych jak i handlowych. Powstać tu ma ośrodek wypoczynkowo-kulturalny z największym na świecie muzeum sztuki XX wieku. Całość ma kosztować 25 do 30 miliardów franków (ponad 5—6 miliardów dolarów). Patronem ośrodka Beaubourg był zmarły niedawno prezydent Francji Georges Pompidou, który zapowiedział otwarcie kulturalnej części ośrodka w połowie 1976 roku. Prasa francuska wyraża obecnie obawy, czy następcą Georges Pompidou zechce włożyć również wiele energii i ambicji osobistej w ten projekt, tak, aby termin został dotrzymany, sprawa jest daleko posunięta.

Ośrodek Beaubourg graniczy ze starą dzielnicą Paryża: Marais, która odgrywała dużą rolę w XVI i XVII wieku, aby potem pomału zejść do rzędu ubogich i zaniedbanych. W ubiegłych latach dokonano ogromnego wysiłku dla przywrócenia dawnego blasku niektórym wspaniałym pałacom tej dzielnicy, a także ożywić ją kulturalnie przez organizację dorocznych festiwali artystycznych. Dzisiaj zwłaszcza w dni świąteczne, gdy poszczególne budowle są nocami iluminowane — dzielnica Marais konkuruje urodą z Quartier Latin, co sprawiło, że mieszkania w niej kilkakrotnie podrożały. Dawni mieszkańcy, przeważnie rzemieślnicy i drobni handlarze przenoszą się na przedmieścia, a stare odnowione z nowoczesnym komfortem budynki zajmują snobi paryscy, dla których Dzielnica Łacińska stała się zbyt hałaśliwa. Ta ostatnia przeżywa głęboki kryzys, jako że od kilku lat stała się ośrodkiem prostytucji, han-

WŁADYSŁAW GRĘDZIELSKI

STOLICE ŚWIATA

I W PARYŻU...

Kiedy przyjeżdżało się do Paryża pociągiem — pierwsze wrażenie nie było najlepsze, jako że najbliższe otoczenie zarówno Gare de l'Est czy Gare du Nord, jak i innych dworców paryskich, okrażonych dziewiętnastowiecznymi, brzydkimi budynkami i jarmarcznym zgiełkiem dzielnic handlowych — nie grzeszy urodą ani szczególnym wdziękiem. W pierwszych latach powojennych gdy samoloty leciały z szybkością ok. 300 km na godzinę i mogły swobodnie krążyć nad miastem jeśli pogoda dopisała — to pierwszy kontakt ze stolicą Francji „z lotu ptaka” był chyba najciekawszy. Można było zdać sobie sprawę z piękna położenia miasta, przeciętego zygazkiem Sekwany i otoczonego sporymi wzgórzami. Dzisiaj z okien odrzutowców, których setki lądują codziennie na trzech wielkich i kilku pomniejszych lotniskach Paryża — zobaczyć można tylko dalekie przedmieścia, równie monotonne, jak

we wszystkich nowoczesnych miastach.

Zresztą jest sprawą dyskusyjną czy pierwsze wrażenie ma być właśnie najlepsze. Przed kilku laty gdy samoloty międzynarodowe lądowały przy starym baraku na Okęciu i budowa nowoczesnego dworca kolejowego w naszej stolicy nie była jeszcze zdecydowana — pewien dowcipny zachodni dziennikarz powiedział mi: „Wy Polacy jesteście mistrzami propagandy...”, a widząc niedowierzanie w mych oczach, dodał po chwili: „bo gdy wyląduję się na Okęciu lub wysiądzie na Dworcu Głównym” — to wszystko co potem się zobaczy musi się podobać...”

Moje pierwsze spotkanie z Paryżem nastąpiło w chłodny, deszczowy dzień zimowy i właśnie na Dworcu Wschodnim. Wiele potem trzeba było spacerów wzdłuż bulwarów nadsekwanskich, po wzgórzach Montmartru i zaułkach Dzielnicy Łacińskiej — aby zatrzeć pierwsze fatalne wrażenie.

dlu narkotykami i gangsterskich porachunków. Zmalała też ilość studentów wobec przeniesienia licznych uczelni poza granice miasta. W dawnych literackich kawiarniach poza fauną niedwuznaczną klienteli dawnego placu Pigalle czy Clichy — można jeszcze spotkać turystów z Polski, nieświadomych przemian społecznych tej dzielnicy, zdumionych egzotyką rzekomych intelektualistów, zajmujących tarasy kawiarni „Flore” czy „Deux-Magots”.

Przed kilku laty, ówczesny minister kultury Francji gaullistowskiej Andre Malraux — przeprowadził gruntowne oczyszczanie kamiennych szarych fasad starych budowli Paryża. Przez 2—3 lata Paryż dziwnie wybielał, szokując miłośników „patyny wieków”. Dzisiaj w zapyłonej i zatrutej spalinami atmosferze miasta — nowy kolor Notre Dame, Louvru, Izby Deputowanych czy Opery — już nie szokuje, gdyż przybrał wyraźnie szarawą tonację i może za jakie 10 lat nikt już o „wielkim praniu” Malraux nie będzie pamiętał.

Mimo wielu prac modernizacyjnych a zwłaszcza budowy linii szybkiego metra, mającego połączyć centrum miasta z dalekimi przedmieściami, przykład dzisiejszego Paryża nie nastroja optymistycznie, gdyż mieszka się tu dla zarabiania pieniędzy, ale żyje w miarę możliwości poza jego granicami, gdzie jeszcze można oddychać i spacerować, gdzie jeszcze coś niecoś kwitnie i gdzie jeszcze ptaki śpiewają. W Sekwanie zginęły ryby a ptaki uleciały z bulwarów i skwerów paryskich. Nie wiem czy nawet najpiękniejsze budowle i zbiory muzealne mogą wynagrodzić te znamienne dezercje, które poprzedziły ucieczkę wielu mieszkańców. Większość mieszkańców Paryża nie pracuje w soboty, ale w tygodniu praca trwa do godziny 18-ej lub 19-ej. Praktyka „społeczeństwa konsumpcyjnego” — narzucająca pogoń za stałą wymianą samochodów, telewizorów czy zmechanizowanego sprzętu domowego — zmuszająca do szukania nowych źródeł zarobków

podobnie jak i stała podwyżka cen (w roku bieżącym ok. 1 proc. miesięcznie!) sprawiają, że paryżanin nie tylko nie ma czasu na rozrywki kulturalne (telewizja zastępuje wszystko) ale na najbardziej francuskie tradycje „aperitif” w ulubionym barze, chyba że jest to połączone z jakimś konkretnym interesem. Na tarasach tysięcy kawiarni paryskich tubylców na ogół nie spotyka się, gdyż czas na takie nieróbstwo mają tylko turyści zagraniczni, których nadal kilka milionów rocznie odwiedza Paryż.

Dawne uroczyste „obiadki” w towarzystwie przyjaciół w małych restauracyjkach, trwające nieraz po parę godzin należą również do przeszłości, gdyż hasłem jest biznes i pośpiech. Niektórzy nazywają to „amerykanizacją życia francuskiego”, której innym objawem są „Super-markiety” i „Drug-story” rugujące dawny handel detaliczny o nie zastępowanych cechach indywidualnych. Jest to również konsekwencja tempa życia, w którym nie ma czasu na staranny wybór i amatorskie zakupy. Są naturalnie jeszcze luksusowe restauracje i sklepy, ale dosłownie tylko dla milionerów lub szaleńców.

Na twarzach ludzkich widać nerwowe napięcie, krok jest przyspieszony (między wyjściem i wejściem do samochodu czy metra) i rzecz najstraszniejsza: znikł jeden z największych oroków Paryża — bezinteresowny uśmiech i dowcip z którego kiedyś słynęła paryska ulica. Istnieją one na różnorodnych pomysłowych plakatach reklamowych, ożywiających parkany wokół licznych placów budowy czy przebudowy, ale to nie to samo...

Pięćdziesiąt lat temu Bruno Jasiński tytułował swą książkę: „Pałę Paryż”... Dzisiaj Paryż sam się spala, wolno ale nieublaganie. Miasto należące nie tylko do Francji ale do całej Europy i ludzkości, tyłoma więzami związane z naszą historią i kulturą powinno znaleźć rozwiązanie swego problemu, który dotyczy wszystkich starych metropolii współczesnego świata, to jest harmo-



Budynek mieszkalny kolo wieży Eiffla (projekt arch. J. Ginsberg)

Fot. W. Stawny

nijnego połączenia miejsca pracy i mieszkania z odpoczynkiem a także nauką i życiem społeczno-kulturalnym. Wymaga to jednak planowania globalnego, na które stać Francję intelektualnie, o czym świadczą liczne propozycje, łącznie z projektem radykalnej decentralizacji życia gospodarze-

go i kulturalnego kraju wobec wiekowej dominacji stolicy o wyjątkowym ciężarze gatunkowym.

Problem Paryża jest niewątpliwie jednym z kluczowych w kraju, który znalazł się na ostrym zakręcie politycznym i społecznym.

WITOLD FILLER

ZE WSI I O WSI

W dwóch teatrach bardzo różnych — dwie premiery bardzo jakoś tam podobne. Teatr Kameralny i Kawalec, Teatr Rozmaitości i Redliński. W obu przypadkach reżyser sięgnął po tekst powieściowy w obu przypadkach powieść traktowała o wsi. Sceneria zatem dla naszej współczesności tak ważka, a przez dramaturgię zaniedbana w stopniu, który każe mówić o irracjonalnym chyba onieśmieleniu. Irracjonalnym, gdyż powieść w opłotki często rusza, żeby — nie wspominając już pisarzy starszego pokolenia, Mortona czy Kurka — wymienić Brylla, Nowaka, Myśliwskiego lub Trziszkę. A w dramaturgii zaledwie stare swady po „Zwycięstwie” Warmińskiego i zlekceważony przez teatr „Odmieniec” Gorczyckiej. Meandryczność teatralnych formuł zdawała się odstraszać pisarzy, którzy mieliby prawo wprowadzić wieś na scenę, innych zniechęcała z kolei

nieznajomość realiów: łatwiej zakłamać brak rzeczywistej wiedzy o pracy w biurze, czy nawet w fabryce, niżli we wsi. Jej obyczajowa odmiennosc wagę ma przysłowiową, profani woleli nie ryzykować blamażu.

I tak zmieniała się wieś, a opis tych przemian umykał przekazowi teatralnemu. Wersja kolbergowska starczyć musiała za wszystko. Jej schematyzm drażnił tych, co wieś dziś znali; ich rozdrażnienie niewiele przeciwie znaczyło wobec uroku krakuszek i pasiaków, wobec sugestywności lamentacji świątkowych i siarczystych „hopków”. I nagle zbiegły się dwie próby dwojga odważnych: August Kowalczyk udrmatyzował „W słońcu” Kawalka, Olga Lipińska „Awans” Redlińskiego. Do wspólnego zadania podszli ze stron przeciwnych: Kowalczyk zdawał się myśleć przede wszystkim o wierności wobec klimatu spraw, o których mówi

powieść; Lipińska o wierności wobec klimatu powieści. Niby to samo, a przecież w skutkach praktycznych całkiem różnie. Kowalczyk zbudował monodram, by z gęstości atmosfery, którą aż dyszy proza Kawalka, niczego nie uronić; Lipińska wystąpiła z kabeletem, bo w tej formie najpełniej dawała się zawrzeć zjadliwa struktura pierwowzoru. Wykonanie sceniczne jeszcze zwielokrotniła odmiennosc dramaturgicznego założenia. Skupiona, nabrzmiała od wewnętrznego dramaturgizmu narracja Tadeusza Fijewskiego odwoływała się do tradycji wsiowych gawędziarzy, co snują wieciorami przypowieści o sprawach sekretnych, smutnych i nieco metafizycznych; aktorzy Teatru Rozmaitości zademonstrowali całą gamę swych prywatnych wyobrażeń o tym, jak może wyglądać wieś, gdy się ją ogląda oko z perska mrużąc: odzywały się więc echa Kierdziołka i Przybory, Dziewoński sąsiadował z Grześkowiakiem — samego Redlińskiego grał tu bodaj jedyny Matyjaszkiewicz; może jeszcze Krzysztof Kowalewski, może Bohdan Łazuka...

Nie chciałbym zresztą tych analogii aktorskich mnożyć, gdyż mogą one mylić w ocenie sprawy

główniej. Spektakl w Teatrze Rozmaitości adresowany jest zresztą do jawnie innego widza i zadania swe spełnia skutecznie: odbiorca znęcony kabaretowością scenicznego wywodu bawi się świetnie, przy okazji dając się namówić na samo myślenie o sprawie pt. „metamorfoza współczesnej wsi”. Zaś o tym traktują w gruncie rzeczy i obie powieści i oba przedstawienia. Kawalec daje dokumentalny niemal opis tragedii starożytnego człowieka, któremu miasto zjadło nie tylko ojcowiznę, ale pozbawiło naturalnych odniesień wszystkie jego przyzwyczajenia, wiary i nawyki; Redliński przekoloryzowuje tenże wątek na barwy groteskowe, deformując *ad absurdum* i rzekomy obskurantyzm dawnej wsi i schematyzm w myśleniu o tzw. zdobyczach postępu. Obaj pisarze patrzą na wieś i jej problemy spojrzeniem od wewnątrz, można wierzyć ich obserwacjom, zwłaszcza, iż obaj wystrzegają się łatwych uogólnień — operują konkretnym sytuacyjnym, autentycznym zdarzeniem. Oba teatry wypadają zatem pochwalić — te premiery wkraczają drapieżnie w teatralnie „biały” plener polskiej wsi współczesnej. Oby był to początek dalszych penetracji...

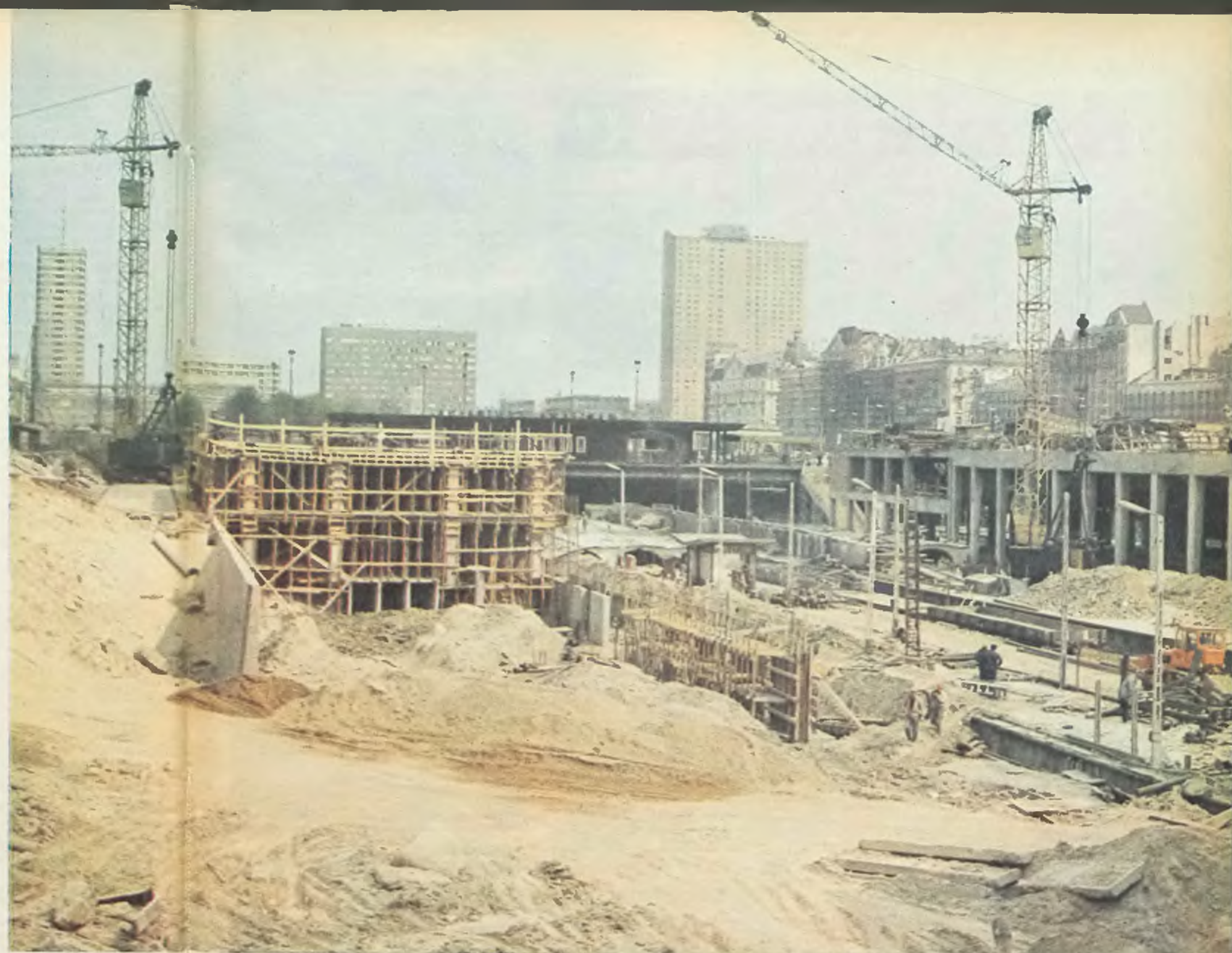


STARE I NOWE DWORCA WARSZAWA CENTRALNA

Zdjęcia: Henryk Jurko

Wejście na nowe perony Dworca Centralnego usytuowane od strony ul. Emilii Plater

Widok z zaplecza osiedla mieszkaniowego Emilia na bazę i plac budowy nowego Dworca (w głębi)



Od strony al. Marchlewskiego tak w ostatnich dniach kwietnia wyglądał teren budowy nowego Dworca w rejonie tzw. bloku południowego

Rozbierane perony i wiaty starego dworca Warszawa Centralna widziane od ul. Emilii Plater



Nocą 4 kwietnia 1974 r. na budowie dworca Centralnego zakończono ostatni etap przelocowania ruchu kolejowego - poprzedniej, wieloletniej lokalizacji pod płytę nowo zbudowanego obiektu od strony Al. Jerozolimskich, zwanego blokiem południowym. Wczesnym rankiem 8 kwietnia, z drugiego z kolei peronu odjechały pierwsze pociągi, zdążające w kierunku zachodnim, inaugurując regularny ruch po nowych torach w obie strony. Oznaczało to kres życia starego prowizorycznego dworca „Warszawy Centralnej”; jego drewniane pawilony poszły pod kilof, ten sam los spotkał wiaty i stare perony, których wysadzenie przy użyciu materiałów wybuchowych, kruszących żelbetowe konstrukcje, przez szereg nocy nękało okolicznych mieszkańców.

W szybkim tempie rozbiórka została ukończona. W ostatnich dniach ub. m. załogi przystąpiły do przygotowania fundamentów nowej części budowy dworca; oddany do użytku blok funkcjonował sprawnie, obsługując pasażerów w dogodniejszych - mimo trwania robót - warunkach.

Prace zasadnicze skoncentrowały się na tzw. bloku północnym, tutaj stanąć ma ponad 1130 pali żelbetowych, na których oprze się konstrukcja płyty, mającej przykryć północną stronę wykopu. Podstawowe zadania tegoroczne obejmują wykonania przekrycia całej północnej części dworca, postawienie 24 słupów hali głównej oraz zmontowanie konstrukcji dachowej. Ponadto przewidziano dalsze znaczne zaawansowanie robót instalacyjnych, łączące z obiektami podziemnymi. (KK)

Pierwsze konstrukcje części naziemnej hali dworcowej, na pierwszym planie ciąg Al. Jerozolimskich



WIZYTA WŁADZ MIEJSKICH GENEWY

Na zaproszenie prezydenta m. st. Warszawy Jerzego Majewskiego bawiła w naszej stolicy z kilkudniową wizytą delegacja Rady Miejskiej Genewy, z prezydentem miasta p. Andre Clerc na czele. W skład 7-osobowej grupy działaczy i specjalistów różnych dziedzin gospodarki wchodził ponadto wiceprzewodniczący Rady — Marcel Clerc i Claire Marti, sekretarze — Raul Bachler i Emile Piquet, kierownik Głównego Sekretariatu Albert Grival i członek Rady Administracyjnej — Roger Dafflon.

Szwajcarscy goście przeprowadzali rozmowy z władzami miejskimi stolicy i naczelnym architektem Warszawy, zwiedzali osiedla mieszkaniowe, obiekty budownictwa socjalnego i rekreacyjno-sportowego, zabityki oraz zakłady przemysłowe stolicy. Obejrzelśmy nasze miasto z

lotu ptaka i z wysokości galerii PKiN, odwiedzili Łazienki, Nieborów i Żelazową Wolę.

Na zakończenie pobytu prezydent Genewy A. Clerc spotkał się w stołecznym ratuszu z przedstawicielami stołecznej prasy, radia i TV, dzieląc się swoimi dodatkowymi spostrzeżeniami i pozytywnymi wnioskami wywozonymi przez delegację ze stolicy Polski.

P. Clerc czuł się zaskoczony osiągnięciami w zestawieniu ze skromnością nakładów finansowych (prace społeczne) obliczając sobie wyciągnąć z tych obserwacji praktyczne wnioski.

Spostrzeżenia poczynione w czasie warszawskiej wizyty władze miejskie Genewy będą się starały wykonać w miarę możliwości przy rozwiązywaniu podobnych problemów w swoim mieście. (KK)



DAR POLAKÓW Z AUSTRII NA ODBUDOWĘ ZAMKU

Towarzystwo Austriacko-Polskie w Wiedniu oraz Związek Polaków w Austrii „Strzecha” prowadzą już od dawna owocną kampanię na rzecz odbudowy Zamku w Warszawie. Jednym z ostatnich odniesionych sukcesów w tej akcji był wielki bal dla środowiska polonijnego, który przyniósł dochód w wysokości 51 000 szylingów austriackich. Wreczenia daru na Zamek dokonała osobiście przybyła do Warszawy delegacja przedstawicieli obu organizacji. W spotkaniu z tej okazji w

Biurze Obywatelskiego Komitetu Odbudowy Zamku Krolewskiego w Warszawie wzięli udział p. Waldemar Marynicz — wiceprezes Związku Polaków w Austrii „Strzecha”, członek prezydium Towarzystwa Austriacko-Polskiego dr Bruno Ketlik i prezes Towarzystwa dr Theodor Kanitzer. Obecny był również ambasador Austrii w Polsce dr J. Proksch oraz wiceprzewodniczący OKOZK prof. Stanisław Lorentz. Na fot. goście z Austrii w rozmowie z przedstawicielami OKOZK. (KK)

„ZACHĘTA” — W POLITECHNICIE

W auli Politechniki Warszawskiej gościć będzie tradycyjnie (od 20 maja) wystawa grupy twórczej „Zachęta”. Wystawa ta nasuwa kilka refleksji. Wierność w sztuce oznacza wytrwałość i odwagę, nietolerancja — zwiastuje straty w kulturze narodowej. Realistyczne malarstwo nie postępienie przez publiczność niekiedy preferujący modę krytycy starali się przez lata usuwać w cień. Doceniamy znaczenie poszukiwań nowych kierunków w malarstwie, słuszny jest pogląd o integralności sztuki i prawie artysty do własnego spojrzenia i własnych wyobrażeń, lecz dostrzegamy również wartości realizmu. Wkład malarstwa „Zachęty” do sztuki polskiej jest istotny. Renesans realizmu w sztuce europejskiej wskazuje, że współczesne nasze malarstwo realistyczne może wygrać swą kartę. Podkreślając wagę twórczości malarzy grupy „Zachęta” trzeba ich zachęcać do poszukiwań formalnych i tematycznych, gdyż w konwencji realistycznej wiele jest dróg twórczych. Należy tu sformułować uwagę krytyczną pod adresem tych artystów, którzy

traktują realizm jako konwencję zamkniętą, oznacza to konserwatywny artystyczny. Malarstwo grupy „Zachęta” nie jest natomiast do przeszłości, jak pragnęliby to widzieć niektórzy jego przeciwnicy, publiczność zawsze z zainteresowaniem i z uznaniem śledzi tę twórczość odznaczającą się komunikatywnością, solidnością, dobrą techniką. Jest to twórczość żywa oparta na tym co było cenne w przeszłości artystycznej.

Realistyczne malarstwo polskie może zyskać odpowiednią rangę w sztuce europejskiej. Malarstwo artystów „Zachęty” powinno odegrać znaczną rolę w prezentacji polskiej sztuki, o czym zdecydowanie szacunek dla tradycji, w powiązaniu z talentem i dalszymi poszukiwaniami twórczymi. Sądzimy, że wystawa w Politechnice będzie dalszym krokiem naprzód na artystycznej drodze twórców „Zachęty”. (aeg)

Co nowego w Warszawie?

Sklepy na Woli

Wolska dzielnica dysponuje obecnie 128 placówkami handlowymi. Wkrótce wzbogaci się ona o nowoczesny pawilon z artykułami spożywczymi, który powstanie przy ul. Brożka. Ponadto trwa budowa dwóch dalszych pawilonów, które w tym roku otrzymają mieszkańcy osiedla Mszczonowska. Niezależnie od budowy placówek handlowych, w dzielnicy modernizuje się stare, wyposażając je w nowe meble i nowoczesne oświetlenie.

Barwny akcent plastyczny

Sciana gmachu Narodowego Banku Polskiego przy placu Powstańców Warszawy doczeka się nareszcie odpowiedniej oprawy plastycznej. Będzie nią gigantyczna ozdoba kompozycja ścienna licząca ponad 1400 m kw. powierzchni. Projekt tej kompozycji opracowuje warszawska Akademia Sztuk Pięknych. Ma ona być gotowa na 30-lecie wyzwolenia Warszawy w styczniu 1975 roku.

„Stomil” dla warszawiaków

Stołeczne Zakłady Przemysłu Gumowego „Stomil” legitymują się największą w Polsce produkcją wyrobów z gąbki lateksowej. Wśród wyrobów produkowanych przez te Zakłady największym powodzeniem cieszą się siedzenia do mebli, samochodów, materace z gąbki, pufy obite skajem itp. W tym roku „Stomil” dostarczy na rynek różne wyroby o łącznej wartości 28 mln zł. Wśród tych wyrobów znajdują się poszukiwane maty „rajt” na siedzenia do wszystkich samochodów polskiej produkcji.

„Warsem” na spacerok

Żegluga warszawska rozpoczęła ostatnio znacznie wcześniej niż w latach poprzednich sezon żeglarski. W związku z tym każdego dnia z dworca wodnego przy moście Poniatowskiego wypływa na godzinne spacery statek „Wars”. Wszystkie wskazuje na to, że podobnie jak w latach u-

spacerowe i w tym roku będą się cieszyły ogromnym uznaniem nie tylko warszawiaków. (WŚ)

SPOD WIECHY

Na Służewcu, u zbiegu ulic Wałbrzyskiej i Wołodyjowskiej, powstaje osiedle nazwane „Nad Doliną” od doliny, wzdłuż której jest ono zlokalizowane. Choć domy stawia się na najwyższym wzniesieniu, grunt tu wodnisty i trzeba było prowadzić odwodnienie. Budowie nadano spore tempo mimo braku uzbrojenia terenu. Pracami kieruje trzech wytrawnych budowniczych Jan Jaworski, Tadeusz Zielenka i Tadeusz Wrzesniewski. Buduje się już siedem bloków, każdy po 10 pięter, ale różnej wielkości od 28 do 60 tysięcy kubatury. Jeden z budynków ma charakter doświadczalny, budowlani nazwali go „plastycznym”, bowiem poza murami, które są z żelbetowych ram H — wszystko inne zastąpił plastik: ściany osłonowe pokryje się tworzywem sztucznym, ściany wewnątrz domu — tapetą plastikową, również podłogi, przewody instalacyjne, futryny okienne będą z tworzywa, kabiny sanitarne z kompletnym wyposażeniem także z plastyku. Wszystko co najnowocześniejsze w budownictwie w Europie będzie reprezentowane w tym budynku, aby nasi producenci mogli się temu dokładnie przyjrzeć. Elementy do wykonania tego domu sprowadza się z wielu krajów. Dwa takie „plastyczne” domy budowane są w Warszawie i dwa w Katowicach.



EMOCJE W STOLICY AMERYKAŃSKIEJ POLONII

Im bliższa data inauguracji mistrzostw świata w piłce nożnej, tym żywiej występuje w pamięci sławetny mecz na Wembley, który nas „katapultował” do elity finalistów. Ale dzieje się tak nie tylko u nas — w kraju sprawców tej wielkiej sensacji sportowej. Również nasi rodacy za oceanem przeżywali niedawno z wypiekami na twarzach emocje meczu Polska — Anglia. Z inicjatywy dwóch panów Edwardów z Chicago (z polonijnej TV) i Mazurra (działacza sportowego) wyświetlono tam kolorowy film z meczu w Wembley. Każdy z 5 seansów miał nadkomplet, a największe okłaski zbierał Tomaszewski za wspaniałe parady. Szkoda tylko, że demonstrowany film był filmem angielskim prezentującym angielskie spojrzenie na grę.

JEDNA Z PROPOZYCJI

Amerykańscy Polacy, wybitni fachowcy szeregu specjalności, występują z propozycjami współpracy z Polską w różnych dziedzinach. Ostatnio taka deklaracja wpłynęła od dr. Guluskiego z Nowego Jorku (nb. jest on przewodniczącym rady nadzorczej Fundacji Kościuszkowskiej), który wystąpił z inicjatywą takich rejsy

wą odsprzedania nam na dogodnych warunkach patentu na produkcję sztucznych arterii (żył, aort itp.). Firma dr. Guluskiego jest jednym z najważniejszych producentów owych sztucznych arterii, a on sam był współtwórcą tego produktu. Dodajmy, że w żyłach (prawdziwych!) dr. Guluskiego płynie krew z „domieszka warszawska”, gdyż część jego rodziny pochodzi ze stolicy nad Wisłą.

40 OBRAZÓW, 50 WYKONAWCÓW, 300 KOSTIUMÓW

W 40 obrazach scenicznych zobaczymy 50 wykonawców, którzy w czasie ponad 2 i półgodzinnego spektaklu nosić będą 300 kostiumów. Ta szczypta statystyki odnosi się do przygotowywanego ze sporym rozmachem nowego widowiska rewiewowego w teatrze „Syrena”. Dominantą programu poświęconego całkowicie Warszawie będzie trzydziestolecie stolicy. Premiera w połowie lipca. W rewię (według scenariusza Gozdawy i Stępnia) wezmą udział m. in. Bielecka, Korsakówna, Rolska, Borys (Stan), Brusikiewicz, Krukowski, Sempoliński, Zaluski.



Fot. Cz. Romiński

KIERMASZ KSIĄŻEK

W czasie trwania Dni Oświaty. Książki i Prasy zorganizowanych zostanie w Warszawie wiele imprez poświęconych książce. Będą to Międzynarodowe Targi Książki, ponad 30 jednodniowych kiermaszy w zakładach pracy (FSO, MZK, huta „Warszawa”, 22 Lipca itd.) i tradycyjny trwający trzy niedziele z rzędu (5, 12, 19 V) kiermasz u podnóża Pałacu Kultury i Nauki.

Ten 27 z kolei kiermasz książki obejmuje 110 stoisk księgarskich — w tym 50 tematycznych i 43 wydawnicze. Novum tegoroczne to stoisko z wydawnictwa NRD, które zorganizowano w ramach wymiany (my prezentujemy nasze książki na targach w Rostoku).

Obsługą kiermaszu zajmuje się 700 warszawskich księgarzy. (kn)

ZMARLI

4 kwietnia — EDWARD WILCZYŃSKI — długoletni pracownik Wydziału Finansowego Urzędu Miasta Stołecznego Warszawy, odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi, Medalem X-lecia PRL, Oznaką Zasłużony Pracownik Rady Narodowej.
5 kwietnia — ANTONI KLESZCZYCKI, prof. zwyczajny, doktor, były wieloletni rektor SGGW, długoletni kierownik Katedry Chemii Akademii Rolniczej w Warszawie, odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi, Złotym Krzyżem Zasługi, Orderem Sztandaru Pracy I i II klasy.

12 kwietnia — BOGUSŁAW KLIMCZUK, kompozytor, aranżer i dyrygent, dyrektor Bigbandu PR i TV, odznaczony za wybitne osiągnięcia w twórczości artystycznej Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, Srebrnym Krzyżem Zasługi, Brązowym Medalem 30-lecia LWP, Brązowym Medalem za Zasługi dla Obronności Kraju.
21 kwietnia — ANDRZEJ ROKITA — dziennikarz, długoletni asystent pracownik Komitetu do Spraw Radia i Telewizji „Polskie Radio i Telewizja”, z-ca naczelnego redaktora Programów Rozrywkowych Telewizji, odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Srebrnym i Złotym Krzyżami Zasługi, Medalem X-lecia PRL.



Edward Gierek przy pracy na Wistostradzie (Kępa Potocka)
Fot. CAF

CZYN PARTYJNY XXX-lecia



Prasa — na Trasie Łazienkowskiej (Saska Kępa)
Fot. Jacek Sielski

ŚWIĘTO TRANSPORTOWCÓW RSW „PRASA-KSIĄŻKA-RUCH”



W chwilę po wręczeniu odznaczeń...
Fot. Janusz Pokorski

W sobotę pracownicy Zakładu Transportu RSW „Prasa — Książka — Ruch” spotkali się w Pryrach z okazji Dnia Drogowca i Transportowca. Najlepsi z nich (na fot.) otrzymali dyplomy i odznaczenia: Złotą Odznakę Wzrostu Kierowcy dostał Ryszard Aloch („Trybuna Mazowiecka”), Srebrną — Stanisław Krzyżtofik („Dookoła Świata”), Wiktor Listo-

padzki („Przyjaciółka”) i Ryszard Zapaśnik (ZG RSW „Prasa — Książka — Ruch”), a Brązową — Grzegorz Sulich („Życie Warszawy”). Podczas spotkania zabrał głos wiceprezes ZG RSW „Prasa — Książka Ruch”, Bronisław Stępień podkreślając, że wszyscy zebrani tu czynnie uczestniczą w codziennym trudzie wydawania gazet.

„IDEALNY” — SKŁAD REPREZENTACJI Cenne nagrody dla Czytelników

„Przegląd Sportowy” przyłączył się do naszego mini-konkursu dla Czytelników ustalających „idealny” skład reprezentacji piłkarskiej Polski na mistrzostwa świata (przede wszystkim na mecz z Argentyną). „Przegląd Sportowy” proponuje (w nrze z 9 maja br.) następującą jedenastkę: Tomaszewski (Kalinowski), — Szymanowski, Gorgoń, Bulzacki, Musiał — Kasperczak, Deyna, Cmikiewicz — Gadocha, Szarmach, Lato (pod warunkiem osiągnięcia wysokiej formy). Jest to więc również skład raczej tradycyjny, zbliżony do proponowanego przez nas. Po rewelacyjnej grze Jakóbczaka w meczu kadry PZPN z Twente Enschede sądzimy, że temu zawodnikowi należy się miejsce w pierwszej reprezentacji. Tylko zamiast kogo? Może Cmikiewicza przesunąć do obrony, a Jakóbczak grać obok Deyny i Kasperczaka w pomocy? Także Kusto podobał się nam w spotkaniu z młodzieżową reprezentacją NRD.

Czekamy na listy Czytelników w sprawie składu reprezentacji Polski, termin ich nadsyłania do 26 maja (data stempla pocztowego). Wśród uczestników naszego mini-konkursu rozlosowane zostaną cenne nagrody książkowe.

12 maja 1974 r. w Warszawie pracowało ponad 130 tysięcy osób; największa koncentracja robót miała miejsce na Trasie Łazienkowskiej i w jej otoczeniu, na Polu Mokotowskim, Wistostradzie oraz przy budowie terenów wypoczynkowych. W parku na Moczydle czynem partyjnym zainaugurowano „Społeczną budowę parku im. Edwarda Szymańskiego, robotniczego poety Woli” (jak to głosiła wielka tablica ustawiona przy głównej drodze), a wśród uczestników tej akcji pracowali syn, córka i wnuczki poety oraz rzeźbiarz Gustaw Zemła.

Na Wistostradzie, wspólnie z pracownikami śródmiejskich przedsiębiorstw i instytucji, nauczycielami, architektami i przedstawicielami środowisk kulturalno-naukowych pracowali członkowie Sekretariatu KC PZPR z I Sekretarzem KC PZPR Edwardem Gierkiem i jego małżonką, członkowie organizacji partyjnej Kancelarii Rady Państwa i Kancelarii Sejmu z przewodniczącym Rady Państwa Henrykiem Jabłońskim, oraz członkowie Komitetu Warszawskiego PZPR z I sekretarzem Józefem Kępą. Na bulwarze warszawskim, do wspólnej pracy z robotnikami i harcerzami stanęli członkowie organizacji przy URM z premierem Piotrem Jaroszewiczem oraz pracownicy Ministerstwa Kultury.

Po praskiej stronie Trasy Łazienkowskiej pracowano w rejonie ul. Ostrobramskiej (porządkowanie i plantowanie terenu) oraz al. Stanów Zjednoczonych. W pobliżu wiaduktu i dojazdów w rejonie ul. Paryskiej realizowali swój społeczny czyn członkowie organizacji partyjnej przy Warszawskim Wydawnictwie Prasowym.

(KK)



PRZYJĘCIE UCHWAŁY — WYRÓR WŁADZ

9 bm. — po dwudniowych obradach — zakończył się w Warszawie V Kongres ZBoWiD. Odbył się on w chwili szczególnej — u progu 30-lecia Polski Ludowej i w rocznicę zakończenia II wojny światowej w Europie. Obydwie te rocznice: zwycięstwa nad faszyzmem i odrodzenia naszej Ojczyzny, jako kraju budującego socjalizm, wywarły wpływ na przebieg obrad, zdecydowały o randze Kongresu.

Przyjęta została uchwała, która określa zadania na najbliższe 5 lat;

podjęto dwie rezolucje: w sprawie zapewnienia trwałego bezpieczeństwa i pokojowej współpracy w Europie oraz potępiającą faszystowski przewrót i zbrodnię junty w Chile.

Kongres wybrał Radę Naczelną, Zarząd Główny ZBoWiD, Główną Komisję Rewizyjną i Główny Sąd Koleżeńcki. Prezesem Rady Naczelnej wybrano Piotra Jaroszewicza, honorowym prezesem został marszałek Polski Michał Rola-Zymierski, prezesem ZG ZBoWiD został Stanisław Wroński.

AEG

SUKCESY I KLĘSKI

Czerkies (Erotyk — Czeremcha) — najlepszy dwulatek potwierdził swój prymat również wśród koni trzyletnich bijąc w Nagrodzie Strzegomia w walce o łeb Elixira, za którym o dwie długości przysalował Czestram. Nie odegrał roli — Drozd (9 długości za Czestramem). Czerkies, prowadzony spokojnie przez dż. Filipowskiego, zaatakował w połowie prostej. Dobrze taktycznie pojechał na Elixirze dż. Jednaszewski, trzymał się na drugim miejscu za prowadzącym Daranem, a przy wyjściu na prostą finiszową wyszedł w ruschu na czoło usiłując już wtedy rozstrzygnąć wyścig. Gonitwa rozegrana została na nietypowym dystansie 2000 m, zwycięzca uzyskał czas 2'05" (31-32-32-30). Zwycięstwem Czerkiesia jest osiągnięciem trenera M. Janikowskiego, który konia dobrze przygotował. Żadna z klaczy nie podjęła rywalizacji z ogierami.

Omam nie tragicznie zakończyła się gonitwa IV, na dystansie 1600 m, dla trzyletnich koni III grupy (1600 m). Wyścig prowadził od startu Arianin, pod dż. Ryniakiem, na ostatnich 300-200 metrach zaatakował Suprafon pod dż. Bujdensem, te dwa konie wyraźnie przodowały, wtedy gwałtowny finisz rozpoczęła Ostryga, pod p. dż. Mazurkiem. Klacz pędząc błyskawicznie polem skłębła w lewo, czy potrąciła Suprafona tego nie dostrzegliśmy, wszystko działo się w ułamkach sekund, ogier jednak zachwiał się, czy potknął na celowniku, dż. Bujdens spał z konia. Wyglądało to bardzo groźnie, jak się jednak dowiedzieliśmy staranne badanie lekarskie nie stwierdziło u jeźdźca żadnych obrażeń, poza silnym potłuczeniem. Komisja Techniczna ukarała p. dż. Mazurka grzywną za nie trzymanie się linii prostej. Jest to liberalne potraktowanie przewinienia, na torach zachodniej Europy czy w Stanach Zjednoczonych odbiera się za to dżokejom licencje. Wyobraźmy sobie taką jazdę, gdy udział w gonitwie bierze 20 koni. U nas nie trzymanie się linii prostej w wyścigach jest nagminnym grzechem większości jeźdźców co wypacza nieraz wyniki gonitw.

Liberalna okazała się również Komisja Techniczna wobec tego co wyprawiał w gonitwie dla trzy-

letnich koni półkwi II grupy, na dystansie 1800 m, dż. Wojkowski na faworycie Beście. Stracił kilka długości na starcie, odrabiał tę stratę tak szybko, że to musiało wyczerpać siły konia, potem wypadł na duże koło i... finiszował. Ukarano go grzywną 500 złotych za... nieposłuszeństwo wobec sędziego startera — na starcie. Naszym zdaniem, należało dż. Wojkowskiemu wlepić karę spieszności i to solidną.

Na naradzie w „Stolicy” (relacjonowanej niedawno) większość fachowców wypowiedziała się za immunitetem od krytyki Komisji Technicznej i rozpatrywaniem jąd dżokejów niezależnie od teoretycznych możliwości, szans koni. Innymi słowy: Komisji Technicznej nie wolno krytykować, a jazdy trzeba traktować abstrakcyjnie. Nie chcemy obecnie zaogniać sytuacji i wprowadzać nastroju nerwowości, musimy jednak powiedzieć, że nie zgadzając się wtedy z takim stanowiskiem operaliśmy się na doświadczeniu wielu lat obserwacji toru wyścigowego, życie szybciej jeszcze niż spodziewaliśmy się potwierdziło w tym sezonie nasze racje.

W sobotę dobrze zaprezentował się Sandro (Balustrade — Saranda) w gonitwie dla trzyletnich koni III grupy, na dystansie 1600 m — stracił sporo na starcie i zagroził poważnie na ostatnich metrach Kserksesowi.

Nagrodę Dziwożony II (1600 m) wygrał Debreczyn, pod dż. Rejkim.

W ciekawym wyścigu dla trzyletnich klaczy II grupy, na dystansie 1600 m zwyciężyła Rarańcza, pod p. dż. Goździewskim, jest to sukces trenera L. Kusznieruka, którego konie biegają w tym sezonie doskonale.

Teraz dobra wiadomość z dziedziny organizacyjnej: w rozmowach arbitrażowych Warszawskie Zakłady Telewizyjne wyraziły gotowość podjęcia prac nad założeniem rzeczywistej telewizji na torze służewieckim, zobowiązując się wykonać wszystkie roboty w okresie sześciu tygodni. Jest to nie tylko zwycięstwo Państwowych Torów Wyścigów Konnych, ale przede wszystkim sukces sprawy ważnej społecznie. Zainstalowanie telewizji na Służewcu zrewolucjonizuje tor wyścigowy, wkroczy tam nowoczesność, praktycznego znaczenia urządzeń telewizyjnych dla prawidłowości gonitw trudno przecenić.

ARCHITEKCI POLSKIEGO KLASYCYZMU

O wielkich lub co najmniej cennych i ciekawych zabytkach architektonicznych w Polsce znajdujemy dużo informacji w naszej literaturze pamiętnikarskiej. Są to jednak informacje o charakterze historycznym i anegdotycznym odnoszące się raczej do historii rodzin posesjonatów i wydarzeń związanych z opisywanym zamkiem lub pałacem. Toteż kiedy Franciszek Kowalski, znany pamiętnikarz i tłumacz Mollera, opisał Zaborów z neogotycką kaplicą, dzieło Ittara, nawet nie wspomina nazwiska twórcy. A coż mówić o Arkadii nazwanej przez Niemcewicza poematem. O olbrzymiej popularności i zainteresowaniu jakim się cieszyła u współczesnych świadczy ich liczne wypowiedzi w pamiętnikach, listach, poezji ulotnej. Dość wymienić relacje Klementyny Hoffmanowej, ks. Marii Würtenskiej, autorki „Malwiny”, Chreptowicza, K. H. Heykinga, E. A. Lehdorffa, Leona Dembowskiego i wielu innych.

I bodaj jedynie z papierów po ks. Helenie Radziwiłłowej i z uryków pamiętnika hr. Walerii Tarnowskiej ogłoszonych w ubiegłym stuleciu w „Przeglądzie Polskim” można się dowiedzieć, że „Jakś pan Ittar, architekt z Warszawy, jeden z tych diabłów florenckich”, miał wkrótce zjechać (do Nieborowa). Trzeba tu było dla tego panicza powozić z pola co tylko znajdziesz największych głazów i brył kamienia, i gdzie? nad rzekę Skierniewkę, o sile chyba wszystkich nieborowskich wólów...” Tak narzekał administrator dóbr książęcej, a tymczasem „Pan Ittar nie zaniedbywał dzieła. Rysowany na wspólnie z księżną... projekt świątyni dochodził do skutku. Jest to przybytek Minnerwy”.

I nawet prace monograficzne nie odbiegają często zbyt daleko od tego typu opowiadania. Przykładem książka Aleksandra Kraushara o

dawnych pałacach warszawskich czy opowiadania historyczne Dunin-Karwickiego.

Oczywiście zgoda inaczej przedstawia się obecnie coraz częstsze prace ściśle naukowe poświęcone wybitnym twórcom architektury polskiej. Taką pracą jest monografia Tadeusza S. Jaroszewskiego i Andrzeja Rottermunda — „Architekci polskiego klasycyzmu” omawiająca działalność artystyczną w Polsce Jakuba Hempla (pióra Jaroszewskiego), Fryderyka Alberta Lessla (pióra Rottermunda, Henryka Ittara (pióra obu autorów) i Wilhelma Henryka Mintera (pióra Jaroszewskiego).

Najwybitniejszym z architektów polskich, którzy kształcili się w Akademii Św. Łukasza i bardzo cenionym w kołach artystycznych Rzymu był niewątpliwie Jakub Hempel — stwierdzał kiedyś Maciej Lorel. Jego działalność w Polsce omawia Jaroszewski szczegółowo przede wszystkim jako architekta pałacu Lubomirskich w Warszawie, autora projektów przebudowy pałacu w Zamościu, zamku w Grzymałowie, klasztoru karmelitów na ratusz w Lublinie. Twórczość jego reprezentuje klasycyzm w formie czystszej i monumentalnej.

Twórczość Fryderyka Alberta Lessla stała się tematem pracy Rottermunda. Wśród licznych dzieł utalentowanego architekta, który zerwał z tradycyjnymi rozwiązaniami kompozycyjnymi elewacji budynków na szczególną uwagę zasługują jego realizacje warszawskie: przebudowa pałacu Potockich na ulicy Miodowej, wzniesienie pałacu dla Walickiej na Senatorskiej, przebudowa pałacu Jabłonowskich i adaptowanie go na ratusz warszawski, brama wjazdowa prowadząca na dziedzińce pałacu Tyszkiewiczów na Krak.-Przedmieściu. Najwybitniejszym dziełem Lessla była przebudowa Pałacu Błękitne-

go dla Zamoyskich (1812—15). Zastosowanie purystycznych form — stwierdza Rottermund — i przelamanie ich formami neorenesansowymi stawia pałac ten w rzędzie budowli postępowych i zapowiadających nowe kierunki w architekturze polskiej.

Artystyczna działalność Wilhelma Henryka Mintera, adiutanta ks. Józefa Poniątkowskiego omawia Jaroszewski. W Warszawie wykonał Minter projekty wielkiego bazaru przy ul. Królewskiej, przekształcenia kaplicy saskiej na Zamku Królewskim, przebudowy pałacu Pod Blachą, przebudowy Arsenалу na Długiej; adaptował również pałac Sapiehów na kozszary, przebudował gmach pijarów na rogu ulic Miodowej i Długiej. A są to tylko niektóre z jego prac.

Był to człowiek pełen nauki i doświadczenia w sztuce budownictwa — pisał współczesny mu gen. Klemens Kolaczowski.

W zakończeniu Jaroszewski stwierdza: Na specjalne podkreślenie zasługuje fakt nadania przez Mintera tej samej rangi wszystkim bez wyjątku dziedzinom architektury. Mintera — prawdziwego architekta nowoczesnego — tak samo interesuje magazyn zbożowy, jak i rezydencja wiejska lub wielki bazar.

Wreszcie — książka zawiera ocenę działalności Henryka Ittara, pióra obu autorów. Jest to najciekawsza, jak się wydaje, praca omawianego tomu. Ittar wszedł przecież do historii sztuki polskiej głównie jako jeden z twórców Arkadii, głośnego sentymentalnego parku Heleny z Przędziękich Radziwiłłowej.

W rezultacie „Architektów polskiego klasycyzmu” czyta się z wielkim zainteresowaniem. Fortą książki jest szerokie wykorzystanie przez autorów przekazów pamiętnikarskich.

T.S.



Felek, tym razem grał go W. Wiliński i Hela (I. Kuśmierska)

CO SŁYCHAĆ U SĄSIADA

„Stolica” ma młłego, zaprzyjaźnionego sąsiada na sąsiedniej ulicy — teatr „Syrenę”. W tej to „Syrenie” ujrzelismy ostatnio „Wodewil Warszawski” Gozdawy i Stępnia; po 24 latach od dnia prapremiery tego Wodewilu to samo widowisko — odkurzone, odnowione, w nowej obsadzie, reżyserii i choreografii (Zb. Czeski), scenografii Gorazdowskiego, z muzyką W. Machana. Ze starej gwardii grają: Stefieja Gorska, Jerzy Bielenia oraz wie-

cznie młoda Hanka Bielecka. Tym razem w roli Cioci (Bielecka jest tu zarazem i asystentem reżysera). W widowisku główne role grają na zmianę: Alicja Wolska i Ewa Miodyńska w roli Zosi, Ilona Kusmierska i Elżbieta Nowosad w roli Pensjonarki, Inżynier — Andrzej Gawroński (przed laty był nim Igor Smiałowski). Murarzem z tamtych lat dziś jest Damian Damięcki. W scenie z akeją w Lazienkach „wypożyczono” uczennice i uczniów z

Licium Kolejowego. Widowisko we wrześniu — na Dni Warszawy — oglądać będziemy w TV

Kol.

AUKCJA NA ZAMEK

DARY K. ANTONIEWICZA

Krzysztof Antoniewicz, malarz i grafik, kształcił się w Szkole Sztuk Pięknych im. Wojciecha Gersona i w warszawskiej ASP. Artysta zajmuje się malarstwem, rysunkiem, grafiką użytkową, wystawiennictwem oraz reklamą filmową i handlową. Projektował oprawę plastyczną do wielu wystaw, m.in.

„Wiek Oświecenia w Polsce” w Muzeum Narodowym i pierwszą stałą ekspozycję w Muzeum im. Adama Mickiewicza. Własne prace wystawia rzadko. Na aukcję ofiarował trzy dzieła. W reprodukcji Konstantego Jarochowskiego prezentujemy jedno z nich, obraz olejny „Symbole Chwały”. (FGJ)



Scena zbiorowa, na pierwszym planie Zosia — E. Miodyńska i Inżynier — A. Gawroński
Zdjęcia: Jacek Sielski

F
fasty

PRODUKUJĄ

C
CORA

SZYJE



**Białostockie Zakłady Przemysłu Bawełnianego
„FASTY”
Białystok, ul. Przędzalniana 8, tel. 2-16-61.
Telex — 85235**

**Zakłady Przemysłu Odzieżowego
„CORA”
Warszawa, ul. Terespolska 4, tel. 10-10-11
Telex — 814440**

P-3155

W piątek po południu

RATUNEK JUBILEUSZOWY

Nie będę namawiał, żebyśmy w tym roku obchodzili jubileusz 200-lecia Łazienek, bo tak właśnie wypada. Ważniejsze, że rok jubileuszowy zostanie, jak się zdaje, uczczony zapoczątkowaniem właściwej opieki nad całością zabytkowego parku. Pisała o tym Ewa Dobrowolska w nrze 12 „Stolicy” z 24 marca br., ale to tylko część. Zmiana zasadnicza nastąpiła wiosną, jako datę konwencjonalną można uznać 16 kwietnia, kiedy opiekę wyłącznie nad Łazienkami objął specjalnie mianowany wicedyrektor. Łazienki są zabytkiem klasy zerowej, a również częścią „niepowtarzalnego w zespole układu terenów zielonych, położonych na skarpie górnej i dolnej — począwszy od Parku Kultury i Wypoczynku, Parku Ujazdowskiego, Ogrodu Botanicznego aż do Al. Ujazdowskich” (prof. dr inż. Alfons Zielonko — „Łazienki — dar historii”). To są wartości obiektywne, o subiektywnym miejscu Łazienek w literaturze, tradycji i naszych sercach nie mówię.

Podczas kiedy w konserwacji i rekonstrukcji zabytków budowlanych Warszawy uzyskaliśmy chyba pierwsze miejsce w świecie, nie można tego powiedzieć o parkach. No, cóż. Park, to park. Drzewa stoją. Nie było nas, był las. W rzeczywistości rzecz wygląda inaczej. Rośnie drzew w Łazienkach około 60 tysięcy, niektóre egzemplarze mają 35 metrów wysokości i 650 cm w obwodzie. Drzew w wieku 180—250 lat jest 34, w wieku 80—130 lat — 774. Chorych drzew było według inwentaryzacji 1959 roku około 2200 sztuk. Wśród tych inwalidzi wojenni, drzewa uszkodzone podczas działań wojennych, tym również nie udzielono pomocy. Aż dopiero teraz... Opiekę naukową nad drzewami powierzono wybitnym specjalistom: dr. inż. M. Siewnikowi i dr. inż. A. Bartosiewiczowi. Mają być zastosowane najbardziej nowoczesne sposoby konserwacji i plombowania. Szczególną pozycję w parku zabytkowym mają drzewa stare, a te nie konserwowane stwarzają niebezpieczeństwo dla ludzi, zwłaszcza podczas silniejszych wiatrów. Wspomnijmy o niebagatelnej okoliczności: o frekwencji. Trwa ona okrągły rok i wynosi do 30 tysięcy osób dziennie. To jest miarą popularności Łazienek, ale i niebezpieczeństwa dla nich. Gdyby te 30 tysięcy nie nie robiły, a tylko znajdowały się w Łazienkach, to wystarczy. W założeniu był to park królewsko-reprezentacyjny, co prawda udostępniony przez króla Stasia publiczności, ale gdzież to porównać frekwencję.

Dlaczego w ogóle o tym piszę? Otóż, chciałbym pokazać zadania, jakie stanęły wobec nowego kierownictwa. Żeby utrzymać w porządku obiekt ogrodowy, a zwłaszcza taki, to trzeba mieć program i zapewnioną realizację, to wszystko w oparciu o bazę ludzką i materiałową. Otóż, przez dłuższy czas Łazienki były poddane opiece instytucji, nie dysponującej żadnym z wymienionych elementów, z których każdy jest niezbędny. A w ogóle kierownictwo zmieniało się osmiokrotnie. Dużym krokiem naprzód stało się powierzenie parku Miejskiemu Przedsiębiorstwu Robót Ogrodniczych. Nareszcie parkiem zajęli się ogrodnicy.

Kiedys cesarz Napoleon zwrócił się do jednego z podległych mu generałów z zarzutem, dlaczego w odpowiednim momencie bitwy nie otworzył on ognia artylerii. „Po pierwsze — tłumaczył się generał — nie miałem amunicji...” „Wystarczy” — przerwał cesarz dalsze wywody.

Obecnie mamy to wszystko za sobą. Jest rada, jest dyrektor, jest przedsiębiorstwo dysponujące wystarczającą kadrą ludzką i to nie tylko do robót ogrodniczych, ale również umundurowanych strażników. No, nareszcie. Przypomnieliśmy sobie o Łazienkach i nikt teraz nie powie, że nie warciśmy tego, żeby nam cośkolwiek ocalało.



75 dni

W pierwszych dniach maja na 75 dni przed terminem ukończenia budowy Zamku, w stanie surowym, dachówka pokryła część gotycką budowli od strony Dziedzińca Wielkiego. W ciągu maja dachówkę utrzymamy na skrzydle zachodnim od placu Zamkowego i południowym od Trasy W-Z. Pokrycie miedziane otrzyma dach nad Salą Balową, co zgodnie jest z przekazem historycznym w postaci obrazów Canaletta, również kopuła Wieży Grodzkiej będzie pokryta miedzianą blachą.

Zegar zamkowy

Ukończony został montaż zegara zamkowego oraz dokonano jego próbnego uruchomienia i synchronizacji. Próby wypadły pomyślnie. Następnym etapem będzie demontaż zegara celem dokonania zabiegów zabezpieczających przed korozją. W połowie czerwca zegar zostanie przetransportowany z pracowni na wieżę. Jednocześnie w Instytucie Mechaniki Precyzyjnej w Warszawie trwa złozenie 414 elementów zegara, takich jak cyfry, wskazówki, części kół oraz ozdobne tarcze słoneczne.



■ P. Z.P. Dziękujemy za miłe uwagi, szkoda że nie podała Pani adresu.

P. Z. i E.M. Nie możemy odpowiedzieć, bo zapomnieliście Państwo podać adres.

P. mgr Michał Włockowski podał surowej krytyce tekst artykułu pt. „Ekspansja Paryża” z numeru 5 „Stolicy”. Dziękujemy za zainteresowanie i uwagi.

Inż. Leon Jęczmyk, Radom. Błądno podpisał pod rysunkiem J. Kossaka, w numerze 8 z 24 II 1974 roku już prostowaliśmy, dziękujemy za uwagę.

P. E. Kochański z Warszawy podziela pogląd p. St. Szostka („Stolica” nr 13), że na miejscu wykonania wyroku na Kutschere nie powinno być kwiatów i świateł.

■ P. Jan Redwan informuje nas, że ze wspomnienia p. Teresy Lewtak-Stattler, drukowanego w 12 numerze „Stolicy” dowiedział się w jaki sposób zginął jego ojciec w Powstaniu Warszawskim.

P. Jan Redwan pisze: „W Powstaniu Warszawskim straciłem ojca. Zginął 30 IX 1944 r. na Żoliborzu jako dowódca kompanii w randze porucznika, posiadający pseudonim „Ojciec Marian”. Informacje dot. śmierci mego ojca jakie do chwili obecnej posiadałem były bardzo skąpe. Przekazała mi je w roku 1948 lub 47 jedna z łączniczek nosząca o ile dobrze pamiętam pseudonim „Lucyna”. Była podobno do ostatniej chwili przy ojcu, który został ciężko ranny.



Członkinie Rady Kobiet — ZBoWiD Warszawa Śródmieście — dla uczczenia XXX-lecia PRL i V Kongresu ZBoWiD pracowały społecznie przy odbudowie Zamku w dniu 28 IV 1974 r.

Z kraju

3.112,47 zł — Wojew. Przed-PKS — Oddział w Jarosławiu z czynów społecznych.
3.000 zł — Poznańska Fabryka Łożysk Toczących ze sprzedaży 3 tys. kg złomu.

Od młodzieży

158 zł — Uczniowie kl. IVA Szkoły Podstawowej Nr 7 w Radomiu ze zbiórki makulatury.

1.000 zł — Młodzież szkoły Podstawowej w Rzepedzi (pow. bieszczadzki).

1.000 zł — Liceum Medyczne w Oświęcimiu.

106 zł — uczniowie klasy Ia Szkoły Podstawowej Nr 1 w Pasłęku.

502,20 zł — III grupa wiekowa „Wilki Morskie” Szkoły Podstawowej w Goleniowie woj. szczecińskiego.

1.500 zł — Samorząd Szkoły przy Liceum Medycznym w Szczecinie.

837 zł — uczniowie Technikum Mechanicznego w Ketrzynie.

2.246 zł — Samorząd Szkoły Podstawowej nr 7 w Lęborku z inicjatywy klasy VII A.

1.905 zł — Zbiórca Szkoła Gminna Ziębice.

366 zł — klasa I i II Szkoły

kum Rolniczego im. Wł. Sza-1.368 zł — młodzież Technikum Podstawowej w Wejherowie. fera w Głubczycach.
1.502 zł — szkolne Kolo Przyjaciół Warszawy przy Szkole Gminnej w Gnacynie kolo Częstochowy.

Wpłaty z zagranicy

z Australii: P. Prochowski z Sydney — 10 dol., P. W. Kubicki — 5 dol., z NRF: T. Hyb, Mannheim — 100 mk, Józef Kowalski Mulheim — 100 mk, z Francji: Helena P. Juzba, Sainto Maure — 100 fr., Pierre Waksman, Montreuil — 50 fr., prof. Bernard Gveoe, Ile de France 450 zł, z Kanady: Stefan Opaliński, Alberta — 10 dol., Julian Topolnicki Quebec — 8 dol.

Stan kont

Do dnia 10 maja 1974 r. wpłynęło 426.190,961,66 zł oraz 418.233,78 dol.

Numery kont

Obywatelski Komitet Odbudowy Zamku Królewskiego w Warszawie PKO I Oddział Warszawa Nr 1-9-122.122. Oprocentowane konto dewizowe Banku PeKaO nr E-100700.

list jest bez adresu, ma charakter anonimowy?

P. Władysław Oksiński z kolei nie zgadza się z p. Szostkiem pisząc m.in.:

„Pan Szostek błędnie wywodzi, że w tym miejscu nikt nie zginął — niestety, — właśnie na miejscu akcji w walce z hitlerowcami zostali śmiertelnie ranni dowódca podch. „Lot” Bronisław Pietraszewicz, członek ubezpieczenia „Cichy” Marian Senger, zmarli 4.2.1944 w szpitalu. (Ranni zostali „Miś” Michał Issajewicz i „Olbrzym” Henryk Humięcki”).

■ P. Zdzisław Szyszka z Bydgoszczy pisze:

„Jestem abonentem „Stolicy” od wielu lat. Posiadam komplet egzemplarzy z roku 1973 i jeśli byłby on redakcji przydatny chętnie go odstąpię.

Uczynię to też w stosunku do chętnych Czytelników „Stolicy” i innych osób postronnych.

Korzystam jednocześnie z okazji jako warszawiak w wieku kolumbowym „na wygnaniu” aby podziękować Wam za „Stolicę”, którą redagujecie.

Przepiękne artykuły przywodzą mi przed oczy wyobraźnię wizję mojego miasta okresu młodości. Uczą mnie uczucia do Warszawy i wierności dla niej oraz podziwiania jej piękna w dobie obecnej.

Zaluję bardzo, że nie mogę być obecnie jej mieszkańcem.

Serdeczne pozdrowienia i powodzenia w pracy redakcyjnej!”

Dziękujemy.

■ „Przed tygodniem, chcąc nacieszyć oczy widokiem świeżej wiosennej zieleni, odwiedziłem niektóre zakątki Warszawy. Oto moje spostrzeżenia z krótkiego spaceru — pisze P. Mieczysław Jankowski. W Parku Skaryszewskim

„Dostałem od niej jedyną pamiątkę po ojcu — mały, błyszczący orzełek wycięty z puszek po konserwie. Więcej z tą łączniczką nie spotkałem się. Uczestniczyłem wraz z matką przy wielu ekshumacjach zwłok żołnierzy-powstańców poległych na Żoliborzu, niestety, zwłok mego ojca nie odnaleźliśmy, nie mam więc i jego grobu. Z przykrym tym faktem na przeszerzeni wielu lat musiałem się pogodzić. Prawdziwym więc wzruszającym dla mnie zaskoczeniem jest drukowane w „Stolicy” (Nr 12 — 1372 z dnia 24 III br.) opowiadanie p. Teresy Lewtak-Stattler pt. „Mila — padnij!” poświęcone ostatnim chwilom walk na Żoliborzu, które dla wielu powstańców skończyły się tragicznie. W opowiadaniu tym znalazłem wzmiankę o swoim ojcu, o Jego tragicznej śmierci.

Bardzo proszę Szanowną Redakcję „Stolicy” o podanie mi adresu autorki wspomnienia. Była ona 15-letnią łączniczką w Zgrupowaniu „Żubr” i jak wynika z Jej opowiadania naocnym świadkiem śmierci mego ojca. Może uzyskam od Niej więcej szczegółów, tak przecież dla mnie cennych. Liczę na pozytywne załatwienie mej prośby, za co będę Redakcji szczególnie wdzięczny”.

Adres przekazaliśmy naszemu Czytelnikowi, a jego list autorce wspomnienia p. Teresy Lewtak-Stattlerowej.

■ P. Jan Walichnowski, Nowa Huta. Dziękujemy za uwagę w związku z artykułem Wacława Zarzyckiego o dyplomacji cudzoziemskiej w Warszawie Stamtawowskiej.

■ P. Jerzy Kaczor nadesłał nam słuszne na ogół uwagi dotyczące poruszonej przez p. St. Szostka — w liście do „Stolicy” sprawy składanania kwiatów i palenia świateł w miejscu zglądzenia Kutschery. P. Kaczor podziela tu krytyczny pogląd p. Szostka. Dlatego jednak

na Pradze ławki powciągane w głąb krzaków lub na środek zielenców. Dojścia do nich znaczą wydeptane w trawie drogi i ścieżki.

Przed Domem Żołnierza (Pałac Lubomirskich) świeżo założone trawniki w głównej alei prowadzącej do pałacu wydeptują bandy wyrostków. Na podzamczu tzw. Zielona Klamra stała się dzikim boiskiem, na którym coraz więcej wyrostków nie tylko skutecznie niszczy trawniki, lecz i młode drzewka. W ten sposób „Zielona Klamra” zmieniła wkrótce swą nazwę na „Skamieniałą Klamrę”. Już są sygnały w prasie (Życie Warszawy nr 52 z 2.III.74), że świeżo założona zieleń przy Trasie Łazienkowskiej jest dewastowana przez niesforne przechodniów. Dodać należy, że to wydeptywanie trawników doszło do absurdu. Oto przykład: mały trawnik o wym. 10x10 m przylegający do Biblioteki Historii Sztuki PAN (róg ul. Długiej i pl. Krasińskich) jest pocięty na krzyż przez wydeptane drogi, pomimo przecież ułożonych obok chodników z płyt. Jeżeli zatem chcemy na obchody XXX-lecia PRL pokazać liczny gościom z kraju i z zagranicy Warszawę piękną i zadbaną należy już teraz nie zwlekając podjąć szeroko zakrojoną akcję zwalczania wszelkich przejawów wandalizmu. Akcję taką podjąć muszą czynniki odpowiedzialne za porządek w mieście. Na nic się tu zdadzą apele do społeczeństwa, bo przecież nie kto inny jak właśnie część tego społeczeństwa przez brak kultury współżycia i dyscyplinowania jest sprawcą szkód społecznych występujących w stolicy”.

Sądymy, że tylko jednoczesne starania: władz miejskich (aż do stosowania surowych sankcji) i społeczeństwa w pełni zaangażowanego każdy przejaw wandalizmu mogą przynieść wyniki. Same zarządzenia i kary nie wystarczają, tak jak nie zatłuwają sprawę ingerencje poszczególnych osób. Powinniśmy wytworzyć klimat dezaprobaty i potępienia społecznego dla szkodników.

■ P. doc. dr hab. architekt Wojciech Kalinowski z Radomia nadesłał nam sprostowanie, które samo przez się może zainteresować ogół Czytelników. Okazuje się, że został... usmiercony przez jednego z autorów „Stolicy” we wspomnieniu na jej łamach. Ale oddajmy głos naszemu Czytelnikowi:

„Było mi dość przykro jak okazało się z treści artykułu w nr. 14-15 br., że od 35 lat nie żyję! — pisze p. doc. W. Kalinowski. — Zdarza się to zresztą nie po raz pierwszy (ostatnio w „Kronice Warszawy”), co podobno wróży długie życie! Ale powróćmy do faktów.

P. Niewiadomski w artykule „Promenada mojej młodości” pisze: „W walkach wrześniowych 1939 r. w obronie Polskiej Ojczyzny zginęli potomkowie po kadzieli, młodzi podchorążowie — Jędręk i Wojtek Kalinowski — wnukowie Marii Szuster”. Prawda wygląda trochę inaczej. Brat mój Andrzej rzeczywiście zginął w 1939 r. ale nie w obronie Warszawy lecz jako podporucznik 36 pp (oficer łączności) w czasie wycofywania się spod Czystochowy w kierunku Warszawy. Zginął w Brwinowie w tragicznych okolicznościach. Jak stwierdzają świadkowie był w czasie walk lekko ranny (w szyję?) i zastrzelony został przez oficera niemieckiego strzałem w twarz (potwierdziła to ekshu-

macja w 1941 r.). Sprawa ta nie znana jest odpowiednim czynnikiem badającym zbrodnie hitlerowskie. Natomiast ja brałem udział w walkach grupy armii „Narew” gen. Młota-Fijałkowskiego (Nowogród pod Łomżą, Zamborów) i wróciłem do Warszawy w grudniu 1939 r. Po długich perypetiach wojennych (oboz koncentracyjny, powstanie warszawskie, oflag II D) wróciłem do kraju jeszcze w 1945 r., ukończyłem Wydział Architektury PW i od 1946 r. pracowałem u prof. Jana Zachwatowicza w Zakładzie Architektury Polskiej. Później przez wiele lat byłem wicedyrektorem Instytutu Urbanistyki i Architektury, dziś docentem w Instytucie Historii Kultury Materialnej PAN. Stąd wnosić należy, że jednak w 1939 r. nie zginąłem!

Prócz nas dwóch Maria Szuster miała jeszcze wnuczkę Małgorzatę Szuster, córkę Franciszka. Wyszła ona po wojnie za mąż za obywatela radzieckiego i chyba w 1951 r. wyemigrowała do ZSRR. Dziś żyją już nie tylko wnuki, ale i prawnuki Marii Szuster. Tak przedstawia się prawda”.

Przepraszamy za omyłkę naszego autora, dziękujemy za list.

List p. W. Kalinowskiego zawiera również postscriptum warte odnotowania.

„Ponieważ „Stolica” bardzo skrupulatnie odnotowuje wszystkie „varsawiana” byłem trochę zaskoczony, że pominięto sprawę nadania doktoratu honoris causa prof. Janowi Zachwatowiczowi, którego byłem uczniem i współpracownikiem, przez Uniwersytet Techniczny w Hanowerze w styczniu br. Byłem na tej uroczystości, która miała wyrazić „warszawski” charakter, gdyż zarówno dziekan Wydziału Architektury w wygłoszonym „laudamus” mówił o Warszawie, jej zniszczeniu i odbudowie, jak również prof. J. Zachwatowicz przeważającą część referatu poświęcił Warszawie”.

Dziękujemy za informację.

■ Towarzystwo Przyjaciół Warszawy Oddział Ochota nadesłał nam następujący list: „Nawiązując do artykułu Kazimierza Biernackiego „Wielki Aktor” („Stolica” 21 IV.1974 r.), w którym autor pisze, że 50 rocznica śmierci Wincentego Rapackiego minęła „bez echa” — pragniemy poinformować, że w dniu 3.IV.1974 r. odbył się w sali kawiarnianej Muzeum Narodowego wieczór poświęcony Wincentemu Rapackiemu z udziałem artystów scen warszawskich — Jacek Fryling wygłosił prelekcję „O dawnym teatrze i jego wielkich postaciach”.

Jest mała uliczka w Warszawie, między Filtrową a Wawelską nosząca imię tego wielkiego aktora. Towarzystwo Przyjaciół Warszawy Dzielnicy Ochota w cyklu spotkań poświęconych „Patronom ulic naszego miasta” przypomniało mieszkańcom Warszawy bliskiego ich sercu i zasłużonego w dziejach teatru artystę”.

Dziękujemy za informację.

■ „Pozwalam sobie przesłać trzy drobne uzupełnienia do arcydzieł wspomnień profesora Bronisława Wiczorkiewicza pt. „Warszawscy księgarze i księgarnie” (nr 14-15 z 7-14 kwietnia) — pisze p. Michał Horoszewicz z Warszawy.

„Na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych księgarnia Trzaski, Everta i Michalskiego nie mieściła się jeszcze przy ul. Pięknej róg Poznańskiej (zresztą, nie tyle

Dokładne określenie miejsca gdzie zrobiono to zdjęcie w Warszawie jest niemożliwe; można jedynie przypuszczać, że jest to okres Powstania lub zaraz po Powstaniu Warszawskim.

Poznańskiej co Lwowskiej — tam gdzie jest dziś kwicarnia). Początkowo księgarnia mieściła się przy ul. Marszałkowskiej między Śniadeckich a pl. Zbawiciela (nieco bliżej placu); gdzieś w latach 1949-50 przeniosła się do dużego lokalu po sklepie „firmy porcelanowej” Łakomskiego przy ul. Brackiej (obecnie księgarnia „Domu Książki”). Następnie otrzymała lokal — długi, ciemny i niewygodny — przy ul. Szpitalnej (dzis — ale na znacznie większej powierzchni — mieści się tam apteka). Dopiero ostatnim już schroniskiem tak zasłużonej firmy stał się niewielki, źle położony lokal przy ul. Pięknej.

Dippel i Hammer (wydaje mi się, że właśnie Hammer, a nie Hemmer) mieli lokal przy Nowym Świecie, ale w innym nieco miejscu niż obecna księgarnia muzyczna (która przejęła lokal dawnego antykwariatu — bodaj pierwszego — „Domu Książki”), mianowicie między sklepem Cepelii a ul. Świętokrzyską. Był to drugi kolejni lokal antykwariatu: pierwszy mieścił się w prawym skrzydle pałacu Raczynskich (dzis ASP), trzeci i ostatni — w pawilonach przy ul. Marszałkowskiej między Świętokrzyską a Królewską.

Jeśli chodzi o firmę Gebethnera — czy może jeszcze Gebethnera i Wolffa to przypominać sobie, że przez kilka lat po wojnie mieściła się ona na parterze gmachu firmowego, zniszczonego, ale niecałkowicie — z wejściem od ul. Zgoda, chyba przez bramę. Nie sądzę, aby to była inna księgarnia.

Wspomnienia prof. Br. Wiczorkiewicza — doskonale zilustrowane — przeczytałem z prawdziwym wzruszeniem — kończy p. M. Horoszewicz.

■ P. S.K. Warszawa. Komisja Techniczna może wycofać sankcje wtedy, kiedy uzna, że dżokej nie jechał według prawideł. Dyrekcja PTWK nie ma żadnych uprawnień w stosunku do dżokejów w zakresie ich jazdy. Dyrektor nie ma prawa ukarać dżokeja bez orzeczenia Komisji Technicznej. Może odmówić mu licencji na przyszły sezon jeżeli K.T. splezyła dżokeja.

■ P. L.M. Warszawa. Doxa w debiucie, w 1973 roku była pierwszym mocnym faworytem, zajęła ostatnie miejsce w gonitwie przy 5 koniach. Publiczność zrobiła z niej nlestuznie faworyta.

■ P. J.K. Dyr. PTWK inż. Leszek Gniazdowski mówił na naradzie fachowców w „Stolicy”, w grudniu 1973 roku, że często uważa się konia za faworyta nie dlatego, że ma dobre pochodzenie, ale ponieważ chłopcy stajenni rozpuszczają nie potwierdzone przez fachowców pogłoski. 17-18-letni chłopiec pracujący dopiero rok na torze wśród graczy urasta do uszczehwiedzącego. I krąży plotki głoszone czasami nawet przez poważnych ludzi: „kto pracuje na wyścigach, ten wszystko wie, oni wszyscy bardzo wiele zarabiają”.

Dyr. Gniazdowski powiedział wtedy między innymi: „Dużą rolę ma „Stolica” aby przeciwdziałać legendzie — właściwe ukazanie tych historii i historyjek będzie prawdziwie nakwintowało sytuację. Często gracze czytają artykuły red. AEG wyrażają sobie określony sąd o wyścigach. Słusznie na-



czelnik Sosnowski mówił, że nie pisac krytycznie w ogóle to byłoby ryzykowne, bo Komisja Techniczna stałaby się nietykalna. Ale jeżeli są jakieś niejasne problemy to należałoby przekonsultować te spostrzeżenia”.

■ Kilka ciekawych propozycji pod adresem redakcji wysunął p. Marek Cybat z Łodzi. Istotniejsze fragmenty listu publikujemy:

„Czy nie moglibyście — dla uczynienia „Stolicy” jeszcze bardziej atrakcyjną — ogłaszać od czasu do czasu jakiegoś konkursu? Tematyka jego mogłaby np. nawiązywać do drukowanych przez Was artykułów z historii kultury polskiej, do dzieł Warszawy itp. Myślę, że czytelnicy z radością przyjąłby taką nowość.

Sprawa druga. W latach 60-tych drukowaliście arcydzieła ciekawe materiały poświęcone zbieraczom i ich zbiorom oraz sagi rodów warszawskich. Czy nie byłoby dobrze tego rodzaju publikacje kontynuować?

Chciałbym Wam również zaproponować zamieszczenie artykułu omawiającego historię świątyn prawosławnych znajdujących się w Warszawie oraz dzieje prawosławnego cmentarza na Woli wraz z wzmianką o ciekawych osobach na nim spoczywających. A w ogóle czy nie warto pokusić się o cykl poświęcony cmentarzowi powązkowskiemu.

Od wielu lat prowadzicie swą szlachetną akcję „Otwartych Szkatuł”. Wstyd mi, że dopiero teraz — ale ponoć lepiej późno niż wcale — ale i ja chciałbym wnieść do niej swój skromniutki wkład. Przesyłam Wam 7 amatorskich zdjęć wykonanych w Warszawie po jej wyzwoleniu oraz 6 fotografii wykonanych chyba w II połowie 1944 r. przez jakiegoś Niemca. Oddał on film do wywołania w jednym z łódzkich zakładów fotograficznych i tam wykonano bez jego wiedzy i zgody dodatkowe odbitki.

Wybrzeże Kościuszkowskie przy domu, gdzie obecnie mieszczą się Związki Zawodowe; w głębi most wysokościowy, dalej widoczne przęsa mostu Poniatowskiego.

Przyjmijcie wyrazy szczerego podziękowania za Wasz dotychczasowy trud i życzenia wszelkiej pomyślności na przyszłość — kończy swój list p. M. Cybart. Dziękujemy.

■ „Z Wilanowa na Kahlenberg” Jana Strońskiego dorzuca kilka ciekawostek do naszej wiedzy o potrzebie wiedeńskiej, nadal jednak podtrzymuje opinię, iż Sobieski był słabym politykiem, a sprzymierzenia — niewdzięcznikami! — pisze p. Jan Walichnowski z Nowej Huty i polemizuje z tą tezą. Czytelnik nasz powołuje się m.in. na książkę pt. „Zarys historii wojskowości powszechnej do końca wieku XIX” (MON-1972) Janusza Sikorskiego przytaczając cytł ze str. 373: „Chociaż bitwę wiedeńską zakończył uspaniału atak jazdy polskiej, to jednak zwycięstwo odniesione nad Turkami było w dużej mierze dziełem piechoty i artylerii”.

„Pilawce czy Żółte Wody wykazały, że szlachta nie tak znów skora była do obrony wiary jak nas uczyła Konopnicka („A za tego króla Jana...”) — pisze dalej p. J. Walichnowski. — Nie popolite ruszenie, lecz wojska zaciężne i stale broniły kraju. Jak niedawno Polak bronił Polski o setki kilometrów od niej, tak w 1683 marsz pod Wiedeń był polityczną konsekwencją Cecory, Andruszowa, Buczacza — podkreśla p. J. Walichnowski. — To nie był akt wielkodusznej akcji, nie laska — gdyż sejm nie uchwaliby podatków na takie królewskie zachcianki. Z dwóch silnych wrogów trzeba było usunąć chociaż jednego, jeśli się chciało nadal spławić do Gdańska podolską pszenicę”.

REDAKCJA: ul. Marszałkowska 8, 00-590 Warszawa, tel. centrali 21-50-58. Redaktor Naczelny: Leszek Wyszacki. WYDAWCA: Warszawskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch”, ul. Wiejska 12, 00-490 Warszawa, tel 28-24-11. WARUNKI PRENUMERATY: krajowa — dla czytelników indywidualnych — przez urzędy pocztowe oraz listonoszy. Można również dokonywać wpłat na konto PKO Nr 1-6-100020 — RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-839 Warszawa. Prenumeraty przyjmowane są do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty: kwartalnie 39 — zł, półrocznie 78 — zł, rocznie 156 — zł. Wszystkie instytucje państwowe i społeczne w kraju mogą zamawiać prenumeratę wyłącznie za pośrednictwem miejscowych Oddziałów i Delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch”. Prenumerata za granicę — przez RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych, ul. Wronia 23, 00-840 Warszawa, tel. 20-46-88, Konto PKO Nr 1-6-100024 o 40 proc. drożej. Sprzedaż egzemplarzy numerów zdezaktualizowanych, na uprzednie, pismem zamówienie prowadzi RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-839 Warszawa. Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca. DRUK: Zakłady Wklesłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch”, ul. Okopowa 58/72, 01-042 Warszawa.



Dolna Szwajcarska — ogród rozrywkowy otwarty dla publiczności w 1827 r., wielokrotnie zmieniał właścicieli i przechodził różne przeobrażenia, przez kilkadziesiąt lat był najatrakcyjniejszym miejscem spotkań wykwińskiego towarzystwa. (Pocztówka wydana przed 1915 r., dar p. Janiny Boetzel z Płocka)



Oranżeria w Ogrodzie Saskim usunięta ostatecznie dopiero po wojnie, podczas przedłużania ulicy Marszałkowskiej.

ZIELONE SALONY WARSZAWY

W dawnej, przedwczorajszej Warszawie parki i ogrody były terenem rozrywki i odpoczynku, miejscem schadzek i spotkań towarzyskich. Nieprzypadkowo zwano je letniami lub zielonymi salonami stolicy. Pamięć o niektórych dotrwała do naszych czasów jedynie w nazwach ulic. Książęca przypomina o osiemnastowiecznych romantycznych ogrodach „Na Książęcym” księcia Kazimierza „Poniatońskiego, Frascati, Bagatela to nazwy ogrodów rozrywkowych urządzonych w pierwszych latach XIX w. przez restauratora Szymona Chovota. Bagatela, dawna posiadłość malarza M. Bacciarellego, raczyła Warszawę coraz nowymi atrakcjami, w końcu XIX w. był tu ogród zoologiczny, a jeszcze w latach 20-tych działał teatr letni. Patrząc na zwarta zabudowę ulicy Foksal, trudno wyobrazić sobie, że na przelomie XVIII/XIXw. odbywały się tu popisy balonowe, m. in. słynnego Blancharda, a Foksal, to spolszczony vauxhall, czyli miejsce zabaw ludowych.

Ogrody były najczęściej prywatne, lecz i parki miejskie prześcigały w pomysłowych atrakcjach: pijalnie wód mineralnych, cukiernie, oranżerie, popisy znanych artystów, a w zimie — wspaniałe ślizgawki. Wszędzie było dużo kwiatów, w kwiaty stroiły się również panie — na kapeluszach nosiły całe bukiety. Te piękne, chodzące ogrody utrwaliła Janina Bażyńska w serii akwareli wykonanych tuż przed wybuchem I wojny światowej.

Kiedy słyszynny zachwyty przybyszów nad naszymi zielonymi salonami, nasuwa się smutna refleksja, odziedziczyliśmy je w znacznej części po przodkach, np. Ogród Saski, Łazienki, Park Krasynskich, Praski, Ujazdowski, Skaryszewski. Po sobie zostawimy w większości wybetonowane tereny międzyblokowe w nowych osiedlach. Na szczęście cudzoziemcy tam nie jeżdżą, im pokazujemy Sady Żoliborskie. (FGJ)

Ogród Saski utrwalony na akwareli Janiny Bażyńskiej. Na pierwszym planie zegar słoneczny z fundacji Antoniego Magiera, w głębi dawny pałac Saski, całkowicie przebudowany w 1842 r. Ogród Saski, urządzony w latach 1713—1724 jako przy-pałucowy ogród królewski, był pierwszym parkiem publicznym w Warszawie — został udostępniony mieszkańcom już w 1727 r.



JAN MILLER

NA KERCELAKU MOŻNA BYŁO KUPIĆ OJCA...

„Lubię długie, samotne wędrówki po Kercelaku” — pisał Wiech.

Skąd taka nazwa? Ławo się domyślić, że od nazwiska byłego właściciela — ale dlaczego właśnie jego zarząd miejski uwiecznił w oficjalnej nazwie? Otóż gdy w r. 1867 władze miejskie zwróciły się do kilku posiadaczy gruntów w sprawie kupna terenu na targowisko, tylko ten jeden odstąpił swoją posesję nieodpłatnie. Nie znamy motywów tego kroku — dość, że gdy innych posesorów trzeba wyszukiwać w archiwach, tabliczki z napisem „Plac Kercelego” tkwiły jeszcze po ostatniej wojnie na gruzach domów.

Kercelak stanowił teren na wskroś egzotyczny. Było to coś w rodzaju miasteczka, żyjącego własnym życiem. Gdy się tylko weszło między nieprzeliczone obskurne stragany, porozdzielane szachownicą wąskich uliczek, ogarniała od razu atmosfera transakcji handlowych, widziało się tylko obfitość towaru, różnych typów i w różnym gatunku. Ruch i hałas. Brodaci kupcy wybiegali z kramów i ciągnęli przechodniów, wołając:

— Chodź pan, chodź pan! — bez względu na to, czy zaatakowany w ogóle miał zamiar kupić coś z towarów, znajdujących się w danej dzielnicy. Każda branża miała swój rejon: w jednej okolicy placu można było kupić ubranie, w innej buty, gdzieś indziej gołębie, książki, garnki, mięso — dosłownie wszystko, co kto chciał. Gramofony z trąbami same się hałasliwie reklamowały — a ówdzie, w prymitywnej i brudnej garkuchni i podjeść było można.

Moja matka nie miała awersji do targowisk, przeciwnie: umiała wyśzukać odpowiedni towar, sprawdzić jego jakość.

wytargować się. Na Kercelaku chodziłem z nią głównie kupować ubranie. Stamtąd miałem wszystko: od ubranek dziecięcych do mundurków szkolnych i pierwszych cywilnych garniturów. Zawsze można było dobrać odzienie wygodne, które się dobrze i długo nosiło — a kosztowało o połowę taniej, niż w śródmieściu, gdzie przeważnie płaciło się za firmę.

Ceremonia targowania zaczynała się zawsze od kwestionowania jakości materiału. Handlarze nie lubili, gdy się o materiale ich ubrań mówiło „cajg”.

— Co, to jest cajg? To kangar, prawdziwy kangar!

Kiedy nie znałem niemieckiego, to słowo usposabiło mnie groteskowo: kojarzyło mi się z kangurem — a tymczasem było to zniekształcone słowo „Kammgarn” — czesanka.

W późniejszych latach przychodziłem na Kercelak przeglądać i kupować nuty, które były nawet znacznie tańsze, niż w podrzędnych księgarniach na Świętojskiej. Osobliwością było, że niektóre nuty sprzedawano na wagę, przy czym cena była zależna od stopnia wybitności kompozytora: na przykład kilogram Mozarta kosztował 3 złote, kilogram Spohra — 2.

Sprawy handlowe nie były jedynym motywem moich wypraw w tamtą dzielnice. Częściej przychodziłem do matki, która przez szereg lat — aż do wojny — uczyła w szkole powszechnej przy ul. Leszno 109, róg placu Kercelego. Czteropiętrowy gmach był brzydki, prostacki, nie odbiegał wyglądem od przeciętnych czynszówek; mimo to wewnątrz było dobrze rozplanowane, pomieszczenia widne, wyposażone w doskonałe pomoce naukowe. W dużej sali widowiskowej odbywały się różne akademie, choinki, a także przedstawienia amatorskie, na które mnie matka zabierała jako dziecko.

Publiczne szkoły powszechne podlegały rejonizacji, tak jak obecnie, to też wszyscy uczniowie wymienionej szkoły mieli większy lub mniejszy związek z elementem działającym na Kercelaku. Większość rodziców, pochłonięta sprawami handlowymi, rozmaitymi nielegalnymi praktykami, bądź też konsumpcją alkoholu, nie zawsze miała czas na takie dodatkowe zajęcia, jak wychowa-

nie dzieci, wpływ na ich zachowanie w szkole, na ulicy itp. Ucząca się dziewczyna często korzystała z nadmiernej samodzielności, która doprowadzała do rozbisurmanienia.

Na Kercelaku można było kupić absolutnie wszystko. Jeżeli jakiegoś towaru nie było na straganach, mieli go wędrujący handlarze, z koszami lub bez. Jedni z nich płacili policjantowi „placowe” (złotówkę za dzień), inni nie — zwłaszcza ci, którzy sprzedawali przedmioty kradzione. Jeden z moich kolegów, któremu ukradziono rower, natychmiast, jeszcze przed zawiadomieniem policji, pojechał na Kercelak i zajął tam stanowisko obserwacyjne. W niecałe pół godziny później zjawił się złodziej z ukradzionym rowerem i wpadł w ręce poszkodowanego, który zdążył chyłkiem sprowadzić policjanta.

Ubrania, rowery, nuty — to wszystko przedmioty pospolite, które można nabyć wszędzie. Ale jeden z uczniów szkoły powszechnej nr 100 swoją przedsiębiorczością osiągnął chyba szczyt.

Chłopak zachowywał się skandalicznie i moja matka wezwała jego ojca. Przyszedł szczipły, wysoki osobnik; wysłuchał skarg matki, obiecał ukarać syna i wpłynąć na zmianę jego postępowania w szkole.

Mimo to zachowanie chłopca wcale się nie zmieniło i matka zmuszona była ponownie wezwać ojca. Ku jej zdumieniu tym razem zjawił się człowiek niski i gruby. Matka wzięła jego i chłopca w krzyżowy ogień pytań i bez trudu dowiedziała się całej prawdy.

Łobuzujący się uczeń miał ojca bardzo srogiego i był pewien, że gdy ojciec dowie się o jego zachowaniu, zareaguje gwałtownie, w domu skończy się bolesną rozprawą. Poszedł więc na Kercelak i wśród licznych obiboków, kombinujących tylko, jakby najtańszym kosztem „rozbić ćwiartkę”, znalazł takiego, który za parę złotych zgodził się odegrać rolę jego ojca. Gdy się sytuacja powtórzyła, zrobił to samo, tylko nie zwrócił uwagi na powierzchowność indywiduum. Na jego nieszczęście moja matka miała pamięć do twarzy i wyglądu ludzi. Gdyby to przewidział, dobrałby ojca bardziej odpowiedniego. Na pewno by mu się to udało — na Kercelaku można było wszystko kupić i to w każdym gatunku!

